CENA 20 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra
Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

NUMER 14 - 15 (71 - 72) · KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN, dnia 6 KWIETNIA 1947 ROK · ROK III

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
02015

ANDRZEJ JÓZEF KAMIŃSKI

BRACIA

(Fragment dramatu historycznego „Człowiek Boży", wyróżnionego na konkursie M. R. N. w Krakowie.)

KRÓL Bolesław Śmiały.
Kneź WŁODZISŁAW Herman.

(Świetlica w grodzie wawelskim. Przy podniesieniu ZASŁONY — KRÓL siedzi na swoim podniesionym krześle, oparty na ręku, i duma. Chwila ciszy. Słychać trzykrotne stuknięcie w ziemię. Wchodzi WŁODZISŁAW. Podchodzi do KRÓLA, skłania głowę. Milczy. KRÓL podnosi po chwili głowę, spostrzega go.)

KRÓL: Otoś i jest? Siednij. (WŁODZISŁAW siada na stołku przed KRÓLEM). Zwałem cię tu, by ci rzec, co mam na sercu. Różne słuchy chodzą — uznać chcę, łgarstwo li to, czy prawda, nie daj Bożycu...

WŁODZISŁAW (podnosi dumnie głowę, spostrzega się i spuszcza oczy): Jakiéż to słuchy.

KRÓL: Wino i dziewki — dziewki i wino — mazowieckiego knezia dnie i noce...

WŁODZISŁAW: Zasię komu do tego?

KRÓL (ostro): Na stolcu siedzisz nie jako wiewiórka na sośnie, co jeno orzechy gryzie i na dół pluwa, ale jako jeździec na wzgórzu, co go i widać z wielkiej dali i ustrzelić bardzo łacno. Nie na toć Bóg kneziem uczynił, byś miał dla się żywot łacniejszy, jeno byś inszym pokazował, jako żyć... Nielza, by cię widzieli opilca i niemiernika!

WŁODZISŁAW: Dlatego wy uczycie ludzi, jako krewniakom wzgardę miotać!

KRÓL (krótko, ostro, ale spokojnie): Praw żeś. Ułomny człek jest. Wszelako mnie nie to jedno w głowie...

WŁODZISŁAW (wolno): Ha, może i mnie nie tylko to — skąd uznać możecie, bracie-królu...

KRÓL: Ano, ano... Rycerze twoi precz chodzą po podgrodziu i rozpowiadają, jako Mazowsze jest sobie księstwo i z krakowskiego stolca mnie do niego nic. Jakże to?

WŁODZISŁAW: Widzi mi się — prawi są...

KRÓL (porywa się w pierwszej chwili ze straszną twarzą, potem jednak uśmierza gniew, siada): To wedle tego i tobie nic do rzeczenia nie mam — ja, król?

WŁODZISŁAW: Jako starszy brat młodszemu — słusza wam prawo.

KRÓL: A jako królowi nie słusza?!

WŁODZISŁAW: Jam sobie pan na swoim stolcu!

KRÓL (traci zwolna spokój, głosem pełnym zadzierżanego jeszcze gniewu): Zaś wam! Nie potom posły do Rzymu słał, nie poto kuli złotnicy koronę, by mi na głowie ciężyła! Nielza wam tego rozrywać, co ona skuła w jedno, pójmujesz?

WŁODZISŁAW: Pojmuję, jakom knezia-ońca syn i prawo swoje mam.

KRÓL: Bogać tam prawo twoje! Ani twoje ani moje kneziowe ojcostwo tu nie płaci nic. Potośmy na stolcu, jako pastyrze ze stadem, by stada strzec i złą przygodę odegnać!

WŁODZISŁAW: Strzeżcie tedy swego stada, królu-pastyrzu, ja o swoję mazowiecką trzodę się zatroszczę...

KRÓL: Nielza, nielza! W jedno stada spędzić nam trza, pojmujesz? Inak będzie li — tak przyjdą wilcy, wilcy rudzi — i w stado się wedrą... Pochyną nas koleją jednego za drugim... Pojmujesz? (Z odcieniem serdeczności): Bracie, och bracie, pojmij! Społem nam iść, społecznie iść nie jedno Krakowowi z Mazowszem, ale Polakom z Czechy, z Rusaki — z ludami, co słowem naszym gwarzą! Przyjdą niemi, co słowa nie znają, przyjdą Niemce na Piastową, słowiańską dziedzinę — i wtedy gorze słowu, gorze Słowianom!

WŁODZISŁAW (niedbale): Nie będą gorsi Niemce od brata ciemiężyciela zapyśniałego.

KRÓL (który przez chwilę zatopił się we własnym uniesieniu — ostro, twardo): Głupiś, głupiś ty i Mazowszany twoje! (Opanowuje się, serdecznie): Włodzisławie, rodzony, słysz! Korony mi zajrzysz, wiem! Myślisz, letka mi ta korona, letkie mi to królowanie, niewczasy, wyprawy, wojna wieczysta z każdym? Żaden nie jest, co by na swoje skrzydło gonił — jedno ty królu dbaj, by przywłaszczyć każdemu, co czyje jest, a mir między Polany czyń, by o wrogu nie przepomnieli! Bracie, zalim się jedno nad was chciał rozwielmożnić? Pojmij, jednej ręki trzeba, jednej kaźni: trzeba nam społem, społem iść, w jedno kować ziemie, ludy, plemiona słowiańskie — bo Niemce u rubieży tuż! Bracie, ostań przy mnie, wspomóż — niechajmy swarów, jakośmy z pirwotku spolnie żyli! Ostań przy mnie druhem, bratem mi jesteś! Włodzisławie!

WODZISŁAW (milczy ponuro. Po chwili): Przecz jeno Niemcami oczy ćmicie. Zali nie ludzie Niemce, nie krześcijany?

KRÓL: Niemce? Może oni zaś i ludzie, nie uznać. Jeno nie od onej strony, którą nam ukazują. Dla Słowianina Niemiec psem wściekłym, nie człekiem, biesem z piekła rychlej, niźli krześcijaninem...

WŁODZISŁAW: Jakże to tak? Nie była że babka nasza Niemkini?

KRÓL: Krew jej w nas, toś praw. Ale ducha jej — niemieckiego ducha — znać nie chcę w sobie i nie chciej ty! Znasz to dobrze, jako między Słowiany rostyrk — Niemcom radość i myśl dobra! Przykładem onych Słowian się karaj, co ochynęły w niemieckim morzu, jako i my ochyniem, nie skrzykniem się li ku obronie!

WŁODZISŁAW: Przecz by się mieli Niemce podsadzać pod nas? Znam ja, jako wy oka z Niemiec nie zymacie — jako i do Kijowa gońce do was biegały, byście znali, co w niemieckiej krainie słychać. Ruszyliście cesarza tą koroną swoją, aże wyprawę na Polskę sposobił. Przecz to tak?

KRÓL: Niemasz miru z Niemcem. Włodzisławie, i nie jest mir z Niemcem rzecz można! Zasadzili się oni na to, by słowiańską dziedzinę ogarnąć — da postępują co rok, każde słowiańskie plemię ogarną zwłaszcza i dalej idą. By nie ów spór z papieżem, mielibychmy ich tu na karku prze koronę moją — a przecz? Bo im owa korona przekaża we władaniu calutką dziedziną słowiańską — a jak Lutyków niemiecki cesarz ongi wyciąć kazał w pień, tak i nas by chcieli!

WŁODZISŁAW: Wszelako ja uznać nie mogę, przecz wam Niemcy nie ludzie.

KRÓL (ciągle jeszcze widać, że zdobywa się na cierpliwość): Patrz — widziałżeś Niemca ku nam z czym dobrym obróconego? Nielza, iż musi w nas z mieczem, albo li zdradą — nielza, iż musi chaty z dymem, niewiasty w jęctwo, męże wysiekać! Z Rusakiem, z Czechem, z poganinem jaćwieskim, łacno mir zaprzysiężony utrzymasz — niemieckie słowo rado się mieni, jako owe chmury na niebie. Prozny wiary, prozny czci najeźdźca ci Niemiec naską dziedzinę...

WŁODZISŁAW: Znam ja, bracie królu, jakoście zawdy w gębie byli mocni. Nie przemóc mi was. Ale mi się to przecz nie widzi, co gadacie. Znam i ja Niemce — cale inszy są, niż mi tu wierniście dać. Sprawiedliwe są, ludzkie, da bogobojne Niemce — a że wojny wiedą, da któż nie?!

KRÓL (opiera ciężko głowę na ręku): I tyżeś to z Piastów krwi? Z krwi Chrobrego pradziada? Bracie, bracie... (Z nowym porywem): Wżdy pojmij, pojmij! Kto jeno słowem naszym, gadką naszą gwarzy, kto ze Słowian się wiedzie, ten nasz! Kto ich przeklętą szczekaniną charcze, a nie zna Słowa, ten obcy, cudzy, pies rudy, niemy, NIEMIEC! Chcesz li, by tu nad Wisełką rzeką charczeli ci tą mową obrzydłą — by te lasy słowa, Słowa świętego nie słyszały? Włodzisławie!!

WŁODZISŁAW (niedbale): Mocka gadacie. Rzeknijcie, czegoście ode mnie chcieli?

(KRÓLOWI twarz się zmieniła. Unosi się zwolna w krześle — staje. WŁODZISŁAW wstaje również. Chwilę patrzą sobie w oczy.)

KRÓL (głosem niespodziewanie twardym i ostrym): Tedy za psa ci calustkie gadanie moje, mazowiecki kneziu?!

WŁODZISŁAW (ponuro): Nie wiedzieć mi, czego chcecie. Prawcie w krótkości. Pora mi.

KRÓL (coraz ostrzej, napierając na niego całym ciałem): A skoro miło mi tak do północka cię tu dzierżyć i swoje prawić — zali nie mus tobie, bracie młodszy, kneziku z Mazowsza, słuchać co moja jest królewska kaźń? Ty, ty, opilcu ślepy, spólnego dobra niepilny — coś ty dla mnie króla jest, wraz z twoimi Mazowszany, znasz? (Chwyta go za ramiona i potrząsa nim w napadzie bezpamiętnej wściekłości): Chmyz żeś przeciw mnie królowi i nie bardziej szczeniaka ślepego ważny, pojmujesz?!

WŁODZISŁAW (cofa się i chwyta za rękojeść miecza): Bacz, Bolko, bym nie zabył, żeś brat i pomazaniec!!

KRÓL (okręca nim i pcha ku drzwiom): Idzi precz, idzi precz, bym zaś ja nie zabył, żeś mi brat, a nie jeno podupek hardy mazowiecki, pakość czyniący pospólnemu dobru! Precz!! (Wypycha go za drzwi — chwilę miota się po świetlicy, niezdolny się opanować — potem zawraca do krzesła i siada. Chwilę siedzi bez ruchu z głową na ręce opartą. Drugą pięścią uderza chwilami w poręcz z wściekłością).

Andrzej Józef Kamiński.

TADEUSZ MIKULSKI

Godziny szczęśliwe Wybickiego

W biografii Józefa Wybickiego przewija się z dziwną regularnością rytm działania i spoczynku. Jest to żywot, stylizowany na wzór rzymski. Każda klęska, poniesiona przez Wybickiego w życiu publicznym, odprowadza go nieodmiennie do przystani. Wówczas, rzuciwszy urząd lub mównicę, Wybicki chroni się do wybranego Tusculum. Po latach energii i ruchliwości pogrąża się w lubych zajęciach prywatnych. Jezuici gdańscy, którzy za młodu ćwiczyli go dobrze bizunem, uczą młodzieńca wraz z Alwerem uległej pokory wobec wydarzeń, kierowanych przez Opatrzność. Główny nurt historii miota Wybickim za wolą Pana Boga. Jest on wtedy przedmiotem dziejów. Ale w miarę jak kruszeją trony, kraje ogarniają wojny i rewolucje, Wybicki dozwala prądowi, by wynosił go na brzeg, skołatanego działaniem. Przybiera wówczas postać Joba lub filozofa. Niepoznany, zamyka się w muzeach i bibliotekach, otoczony przez księgi i minerały. Przeżywa krótkotrwałe fazy wielkości. Deklaruje przykrą lojalność wobec czasów, których nie umiał odwrócić. Czyni wszystko, by zachować głowę.

Względem ujścia obrazy monarchy, a osobliwie w czasiech rewolucyjnych, niedość wypada zachować ostrożności.

Gdy dosięgają go nowe wyroki, Wybicki porzuca materiały piśmienne, krzewisko i kwas saletrzany do czynienia doświadczeń, by z ociąganiem się stanąć przed Napoleonem. Ale „godziny szczęśliwe" upływają mu w przerwach działania, wśród zajęć całkowicie mieszczańskich, czytelnika i bakałarza. Najlepiej Wybickiemu, gdy zapominają o nim królowie i historycy.

Współpraca z Dąbrowskim w Legionach przypadła na dobre lata. Niebawem jednak, według prawa przemieszczania energii, któremu Wybicki ulega, następuje wyraźny odpływ z nurtu działania. Ten człowiek wieku XVIII, wyznający żarliwy kult wiedzy, rzuca garnizon dla studiów. I z wszechstronnością zainteresowań, które graniczą z dyletantyzmem, wierny czytelnik Wielkiej Encyklopedii poświęca się lekturze. Epoka nie żąda, nie przeczuwa specjalizacji w nauce. Wybicki kartkuje dzieła i atlasy z zakresu filozofii i wszelkich dziedzin przyrody, geografii, historii, literatury, ze skwapliwością, która ma dorównać niedawnym pracom wojskowym i politycznym.

Ale kraj poczyna ciągnąć emigranta. Sentyment rodzinny gra w tych namysłach znaczną rolę. Żona Wybickiego, Estera Wierusz Kowalska, „z małymi podówczas dziatkami", niewidziana ani razu od roku insurekcji Kościuszki, walczy z niedostatkiem. Wybicki odczuwa żywy niesmak na myśl, że bawi się oto mineralogią pod kierunkiem znakomitego René Justa Hauy, gdy synowie dorastają bez opieki ojcowskiej.

Postanawia wtedy prawować się o majątki wielkopolskie, na które kładzie rękę rząd pruski. Poselstwo pruskie w Paryżu nie chce słyszeć o paszporcie dla uczestnika wyprawy wielkopolskiej gen. Dąbrowskiego. Zapewnienie, że Wybicki pragnie powrócić rygorystycznie do obowiązków rodzinnych, spotyka się z niewiarą. Wolno mu tylko zbliżyć się do kraju, z reskryptem Fryderyka Wilhelma III, ograniczającym swobodę ruchów i działania. Tak decyzja króla pruskiego skierowała Wybickiego do Wrocławia. Poddał się jej bez szemrania. Wówczas w klepsydrze emigranckiej jęły przesypywać się „godziny szczęśliwe".

Z Paryża wyruszył prawdopodobnie w połowie lutego r. 1802. Stanął we Wrocławiu dopiero 5 maja. Należało poddać się nakazowi meldunku u Karola Hoyma, ministra administracji Śląska, który sprawował nad Wybickim dozór policyjny. Przykry ten rygor Hoym łagodził, jak umiał: niespodzianie „zachował serce człowieka czułego". Trzeba wierzyć pamiętnikom Wybickiego, nawet gdy gorszą lub dziwią. A właśnie Wybickiemu „miło powtarzać", że Hoym ulegał sentymentom.

Odtąd maska filozofa przylegała jeszcze ściślej do twarzy autora piosenki „Jeszcze Polska nie zginęła". W parę dni później, 8 maja, Wybicki napisał list do żony, która podówczas wraz z córką Teresą dzieliła w Polsce nieokreślone bliżej „spokojne poddasze" — „z Przyjaciela ręki". List ten przynosił słowa stoickie:

Zaciągnijmy zasłonę na czasy upłynione i nieszczęścia! To jest wiek powszechnego cierpienia... Już się nic nie cofnie. Na cóż truć te dni kilka, co się mi żyć pozostaje. Jestem niewinny, jestem za cnotę cierpiący, jestem nawet od tutejszych za to szanowany. Ubóstwo ani mnie wstydzi ani mnie martwi.

Mimo to Wybicki dochodził skutecznie praw żony do majątków wielkopolskich, które uległy konfiskacie, i wierzytelności właskiego na niemiecki. Czuwał nad tą nauką, choć czynił to „niekiedy", sam Jerzy Samuel Bandtkie, nauczyciel w gimnazjum św. Elżbiety. Wybicki odczuwał żywo dług wdzięczności dla świetnego korepetytora synów. I napisał z wielką atencją:

A, że dokładnie o wytwórczości pracy sądzić nie mogę, w obydwóch językach doskonały Nauczyciel (to znaczy w polskim i niemieckim) Pan Bandtkie, współrodak i przyjaciel, sędzią być waszym niekiedy raczył.

Według ważności przedmiotu szła za językami w poglądach Wybickiego i w programie szkoły technicznej matematyka. Szczególnie wysoki poziom zapewnił zakład lekcjom geometrii, której „teorię" dawał prof. Werman, „praktykę" prof. Friedrich. Obaj wykładowcy, uproszeni przez ojca, „ściągali oko" w stronę młodzików, obserwując ich postępy.

Z umiejętności praktycznych szła na czele nauka architektury. Kurs budownictwa wiejskiego, który prowadził w szkole Wilhelm Bode, nie wystarczał. Gdy niebawem (w r. 1804) wyszło drukiem u Korna dzieło Bodego „Grundriss der laendlichen Baukunst", Wybicki dawał książkę synom do przekładu na język polski w kilku wybranych fragmentach. Prócz tego wyjednał „godziny prywatne" u nauczyciela Hirta — „co do ugruntowania się w praktyce względem piękności budowel".

Studia nad architekturą praktyczną uzupełniała w sposób naturalny nauka rysunku. Wybiccy słuchali publicznych lekcji Karola Bacha, profesora Szkoły artystycznej (Breslauer Kunstschule). Nie zdało się tego ojcu dosyć. Toteż patrzył z radością, jak Bach prowadził uczniów do własnego muzeum (bodaj przy owej Kunstschule), gdzie „tyle dzieł pierwszych mistrzów w sztuce z smakiem i znacznym kosztem zgromadził".

Już niewiele pozostało czasu, by uczyć się „nieco muzyki". Wybiccy siadali rzadko do klawikortu, choć „nie masz dziś domu, w którym by klawikort się nie znajdował". Ojciec, słuchając tego brzękania, mawiał, że „muzyka jest jeden talent, z którym wchodząc w społeczność, okazać się z nim odrazu jest wolno".

Tak upływał dzień szkolny, wypełniony po brzegi. Był to dzień tyleż synów, co ojca. Wybicki bowiem towarzyszył tej pracy, ile mógł i umiał. Poczynił mnóstwo skryptów i excerptów z dzieł podręcznikowych, pomagał pamięci i zdolnościom chłopaków, sam wyposażony przez naturę „bez skąpstwa". W ciągłych rozmowach z nauczycielami czuwał nad poziomem kształcenia synów i właściwym doborem pomocy naukowych. Przechodził tak własną szkołę powtórnie, na przekór złym wspomnieniom z gdańskiego collegium, usiłując stosować metody nowożytnego nauczania.

Gdy zbliżał się wieczór, ojciec odprawiał z synami godziny gawędy. Poświęcał je najpierw „przebieżeniu dziennej pracy", z nałogu nauczycielstwa, które wchodziło mu w krew coraz bardziej. Teraz właśnie, wieczorem, oddawali się razem „nauce porządnego rozumowania i pisania". Były to zatem, po dniu oddanym technice, rozprawy humanistyczne. Wybicki wspominał, jak zapędzał do książki co upartszych legionistów we Włoszech, którzy wyszli przez wojnę spod boćkowskiego rzemienia. Ale jego chłopcy siedzieli spokojni, łagodni, zapatrzeni w ojca-mądralę, który dawał im wiedzę przemyślaną, gotową, objaśnioną we wszelkich szczegółach. Wówczas brała ich żałość, że umieją zbyt mało. Wybicki przeżywał „godziny szczęśliwe". Gdy młodszy Józefek sposobił się do spoczynku, Łukaś brał się do podstępu: zasłaniał, czym mógł, szpary w drzwiach i okno, aby zmylić czujność ojcowską — zapalał świecę i pochylał się nad słownikiem, atlasem, gramatyką francuską. Tak odrabiał pracowicie „macosze serce" natury. Ojciec nawoływał do spania i jaśniał z zadowolenia.

O szczęśliwy ojciec, nieraz pomyślałem rozrzewniony, przed którym syn nie zbrodni jakiej, ale chwalebnej szuka zataić namiętności.

I nazajutrz brał Łukasia po raz drugi w ramiona.

Wśród tych zatrudnień obudził się w Wybickim pisarz pedagogiczny. W miarę jak przybywało doświadczeń, gdy skrypta i notatki układały się w zasobne stosy, Wybicki postanowił oddać niektóre rękopisy do drukarni. Być może, działały tutaj względy materialne, bieda przygniatała tych trzech zapamiętałców ciężką dłonią. Ale wzgląd na użyteczność wykonanych prac pisarskich musiał rozstrzygać.

Tak z pedagogii praktycznej wywiązała się pewna teoria. I we Wrocławiu przeżył Wybicki ważny i samodzielny okres swojego autorstwa: został pisarzem ksiąg elementarnych. Dziedzictwo Oświecenia działało nań silnie i wielorako. Komisja Edukacji Narodowej należała do podstawowych instytucji w zamkniętej dopiero epoce.

Wybicki zaczął skromnie, od przekładu. Był w tym także nałóg czasów Stanisława Augusta. Na stole wrocławskiego pedagoga pojawiła się wówczas książeczka Antoniego Huberta Vendelaincourt „Elemens de mythologie à l'usage des écoles". Wybicki przełożył ją najpierw dla synów, później „dla dorolejszej młodzieży", pt. „Początki mitologii do użytku w szkołach". Wrocławski dom wydawniczy Wilhelma Bogumiła Korna tłoczył książkę w obu językach, po raz pierwszy w roku 1803, a później jeszcze kilkakrotnie (1805, 1806, 1810, 1816).

Musiała nadejść zachęta do robót następnych. Jakoż sypnęły się one żwawo w r. 1804. Były to najpierw „Początki geografii politycznej", znowu drukowane u Korna (1804). Nakład rozszedł się nad podziw szybko, w dwa lata później „zupełnie zabrakło" egzemplarzy. W r. 1806, już z Drezna, przygotował Wybicki wydanie drugie, rozszerzone znacznie, „z początkami geografii fizycznej i astronomicznej, tudzież wiadomości politycznych". Raz jeszcze Korn wybił ten nakład, wróżąc mu dobry kolportaż. W r. 1811 okazała się potrzeba trzeciego wydania.

Największe opus pracowni pedagogicznej Wybickiego stanowi dziełko „Rozmowy i podróże ojca z dwoma synami", które składali pilnie zecerzy Korna w roku tym samym 1804. „Pisał ociec dla swych dzieci."

Teresia Wybicka, „w uciszonych chwilach po trudach gospodarczych, w spokojnym poddaszu", brała do rąk zamiast romansów tę książkę, nadesłaną z Wrocławia, z piękną i czułą przedmową ojcowską. Był to dokument pedagogii wrocławskiej, który autor bez zazdrości pragnął uczynić powszechnym. Ale w tych „Rozmowach" nie wyszedł poza T. 1 (chociaż prospekt z r. 1806 zapowiadał jeszcze T. 2 i nie miał to być tom ostatni).

Nieco później, w r. 1806, oddał Wybicki Kornom „Pierwiastki wieku dziecinnego. Dziełko początkowej nauki po polsku i po francusku", które powstało najwyraźniej ze skryptów gramatyki francuskiej, ułożonych w tych wrocławskich latach.

Tak narastały w druku podręczniki, zrazu dla Łukasia i Józefka, ukochanych synów. Ale z wczasów wrocławskich jęło korzystać szkolnictwo polskie w coraz szerszym zasięgu. Przez przyjaciół w kraju, zwłaszcza przez Cypriana Godebskiego, zabiegał autor o nabywców na te książki. Widocznie kolportaż Korna nie był jeszcze należycie sprawny.

Gdy raz powrócił do pióra, niczym w latach młodości, sypał piasek na ciągle nowe rękopisy. W r. 1804, szczególnie sprzyjającym poważnej twórczości, ułożył jeszcze Wybicki dziełko treści moralnej i filozoficznej „Moje godziny szczęśliwe". Ozdobnymi pismami, kładąc do tekstu całą serię winiet drukarskich, składała z namaszczeniem owe „Godziny" czeladź Korna w r. 1804 i później (wydania następne, bogatsze 1806, 1819). Ta osobliwa książeczka, niby montaigne'owska, chociaż wolna od sceptycyzmu, rozsypana na cykle szkiców i notat autora, czerpie z lektury i rozwagi Wybickiego w okresie wrocławskim.

(Dokończenie na str. 7-mej)

** Szkic poniższy jest skreślony na podstawie pamiętników Józefa Wybickiego „Życie moje", wydanych przez Adama Skałkowskiego w Bibliotece Narodowej, I, 106. Wspomnienia Wybickiego z lat wrocławskich są szczupłe i późno spisane (w r. 1817). Pamiętnik posiada znaczne luki około r. 1802, na czym ucierpiał także obraz Wrocławia. Wieloma szczegółami dopełniają tych wiadomości. „Rozmowy i podróże ojca z dwoma synami", T. 1, Wrocław 1804. Innych przyczynków do okresu wrocławskiego należy oczekiwać z Archiwum Józefa Wybickiego, które ocalił i przygotował do druku prof. Adam Skałkowski. Jego uprzejmym informacjom autor zawdzięcza już dzisiaj niektóre szczegóły biograficzne. Dokumenty do dziejów współpracy Wybickiego z Kornami znajdują się w broszurze Emila Wohlfartha, Die Filma Wilh. Gottl. Korn in Breslau, 1926.*

Plastyka na Śląsku

„Siostry"

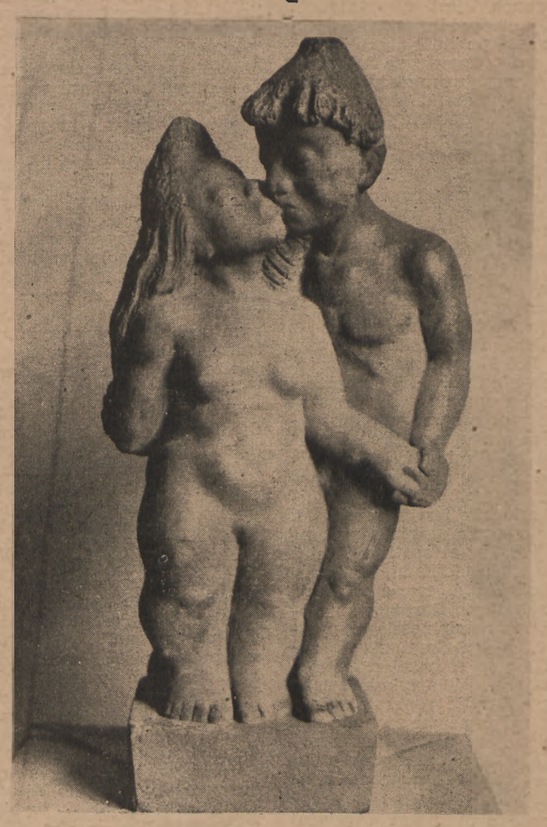

„Ostatni pocałunek"

Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków Okręgu Śląskiego skupia 150 artystów, reprezentujących wszystkie gałęzie sztuk plastycznych. Zarząd Okręgowy mieści się w Katowicach, oddziały w Gliwicach, w Bielsku i w Bytomiu. Mimo wielkich trudności finansowych z jakimi borykają się członkowie, wielu z nich pracuje i bierze udział w wystawach w całym kraju.

I tak na ostatnim „salonie zimowym" w Krakowie śląscy plastycy wypadli równorzędnie z plastykami takich ośrodków jak Kraków, czy Warszawa, a prace niektórych zostały zakupione do zbiorów państwowych. Między innymi na Śląsku pracują rzeźbiarze: *Stanisław Jackowski* — twórca pomnika Kilińskiego w Warszawie, *Stanisław Marcinow* — doskonały portrecista. W grafice artystycznej artysta tej miary jakim jest *Aleksander Rak*, z malarzy *Stawiński, Łonicki, Dawscy, Raszyński, Wyrożemski, Rafał Pomorski, Zicman, Monika Piwowarska*. W grafice użytkowej *Kazimierz Knothe* (plakat i ilustracja), *Józef Mroszczak* — doskonały i znany ilustrator książek dla dzieci.

Coraz bardziej artyści plastycy zespalają się z terenem, biorąc udział w życiu Śląska, a na wystawach coraz częściej można oglądać przepiękny pejzaż Zielonego Śląska przetransportowany na płótno, lub Śląsk Czarny, Śląsk pracy i twórczych osiągnięć.

Zdjęcia przedstawiają dwie prace art. rzeźbiarza *Edwarda Piwowarskiego*, reprezentującego indywidualne podejście i spojrzenie na człowieka. Poza formalnym wymogiem bryły i formy, rzeźby te cechuje specyficzny wyraz smutku. *(glk)*

Najlepsze
Życzenia Świąteczne
wszystkim Czytelnikom, Przyjaciołom i Współpracownikom „Odry" składa
Redakcja

EUGENIUSZ PAUKSZTA

PRYMAT ŚLĄSKA

Dynamizm społeczny Ziem Zachodnich krystalizować się poczyna w pewnych ośrodkach szczególnie intensywnie. Nie mówiąc już o dominującym pod każdym względem Wrocławiu, coraz bujniejsze życie społeczne i kulturalne, niezależnie od gospodarczego, rozwija się w Szczecinie, Gdańsku (duże znaczenie ma tu bezpośrednia bliskość z ziemiami starymi Rzeczypospolitej), nawet w Opolu, Gorzowie, a ostatnio i w Olsztynie. Coraz bujniej zaczynają promieniować także ośrodki prowincjonalne jak Wałbrzych, Gliwice, Cieplice, Złotów czy Jelenia Góra.

To wzmocnienie tempa kształtowania się wyrazu życia społecznego czy kulturalnego jest zrozumiałe w proporcji do coraz pogłębiającego się procesu uzachadniania społeczeństwa polskiego, szczególnie zamieszkującego bezpośrednio ziemie Nadodrza. Wytwarza się tam specjalny klimat duchowy, następują pewne głębokie przeobrażenia psychiczne i dopiero teraz wykształcać poczyna nowy typ społeczny obywatela polskiego, wolny od balastu ujemnych nawarstwień dzielnicowych i socjalnych.

Miniony okres charakterystyczny był przez silną walkę społecznych indywidualności zespołowych na całym obszarze Ziem Zachodnich. Starły się z sobą trzy grupy, wyrosłe na innym podkładzie myślowym, wychowane w innych warunkach politycznych, o innym temperamencie i stopniu aktywności życiowej. Różny był też współczynnik aktywności poszczególnych grup w okresie ścierania się indywidualności zespołowych, inna postawa autochtonów, repatriantów czy osadników z Polski centralnej.

W tym czasie oblicze aktywności społecznej Ziem Odzyskanych nie przedstawiało żadnych zróżniczkowań. Panował ogólny chaos i tylko gdzie niegdzie rozpoczynały się wyłaniać pewne koncepcje realizacyjne, występowały jednostki i grupy z określonym planem działania. Całość przedstawiała wielki konglomerat ludzki, przelewający się przez tę nową rzeczywistość polską, zachodnią, nie powiązany jakimiś wspólnymi więzami natury ideowej. Poza różnicami, wypływającymi ze specyficznych warunków lokalnych, nie dzieliło wiele ówczesnego obrazu Pomorza Zachodniego od obrazu Ziemi Mazurskiej, Warmii czy obu Śląsków.

Szybkie postępy prac nad stabilizacją stosunków na Ziemiach Zachodnich, niewątpliwie wyniki pozytywne w każdej z dziedzin życia, w zasadniczej mierze dokonywały się dzięki świadomej, konsekwentnej postawie społeczeństwa i wkładowi wysiłku z jego strony.

Wtedy też wykształciło się wyraźne poczucie wspólnoty ludności, zamieszkującej terytoria nadodrzańskie. Istniejące do dziś dnia konflikty między autochtonami, a repatriantami czy tymi ostatnimi, a osadnikami z Polski centralnej, zatraciły na ostrości, przesunęły się na plan wyraźnie drugorzędny. Na plan pierwszy wystąpiło coraz to pogłębiające się poczucie własnej roli na Zachodzie i jednoczesna świadomość odpowiedzialności za to, co się tam dzieje. Do początkowego tylko materialistycznego podejścia do rzeczywistości doszedł jeszcze pierwiastek ideowy, niejednokrotnie bardzo silny i konsekwentny.

Jednocześnie wytwarzać się zaczęła szlachetna rywalizacja poszczególnych okręgów Ziem Zachodnich pomiędzy sobą. Nie w sensie tworzenia się jakichś ekskluzywnych, dzielnicowych separatyzmów, ale we współzawodnictwie istotnych, reprezentowanych przez poszczególne okręgi wartości i konkretnego wkładu w dzieło odbudowy i budowy polskiej rzeczywistości Nadodrza. Przy tym miernikiem nie były tu czynniki niezależne, jak bogactwo ziemi, rozbudowany mniej lub więcej przemysł, większe możliwości przetwórcze, ale aktywność społeczna, ale prymat duchowy poszczególnych ziem.

Bezwątpienia, iż w dziedzinie wartości materialnych Śląsk siłą faktów przoduje bezkonkurencyjnie w porównaniu z innymi okręgami. Nikt też nie neguje jego przewodnictwa przemysłowego.

Ale równolegle Śląsk zaczął coraz silniej wysuwać się na czoło w sensie wyrabiania poczucia uświadomienia obywatelskiego, w sensie wzrostu stopnia dynamiki społecznej i ideowego nastawienia społecznego do swych zadań i roli w trybach odrodzonego państwa polskiego.

Zanim przystąpimy do analizy konkretnych wartości twórczych, wniesionych bezpośrednio przez aktyw społeczny w chwili obecnej, należałoby dla jasności i odparcia ewentl. zarzutów tendencyjności oświetlenia, zdać sobie także sprawę i z niewątpliwie istniejących wartości potencjalnych, tkwiących od dawien dawna w klimacie psychicznym ludności śląskiej.

Siłą społeczną, do niedawna raczej potencjalną w okresie powojennej państwowości polskiej, a dopiero obecnie wkraczającą czynnie w życie społeczno-kulturalne, jest milionowa bez mała masa ludności rdzennie polskiej Śląska. Mimo wszelkich, niewątpliwie istniejących naleciałości psychicznych niemieckich, ludność ta zachowała głębokie, twarde poczucie polskiej przynależności narodowej. Ludność ta stwarza podkład rodzimy Polski pod budowanie nowej kultury polskiej Nadodrza.

W duszy Ślązaka przez wieki walki biologicznej i duchowej wykształciły się cechy, nad wyraz dodatnie i konieczne dla zaszczepienia ich w psychice ogólnopolskiej. Tu należałoby przede wszystkim umiłowanie tradycyj narodowych, stanowiące w dużej mierze przyczynę zachowania odrębności i przetrwania, dalej więź tradycji bojowej, szczególnie silna po okresie powstań śląskich, kultywowana w czynie w okresie okupacji. Tradycja zwyczajów i tradycja walk spajała lud śląski w twardą, skrystalizowaną masę o nieodmiennie polskim akcencie i silnej postawie zdobywczej, postawie konsekwentnej realizacji raz wytyczonych planów i koncepcji.

W oparciu o te pierwiastki, a w ogniu ciągłych prześladowań i ucisku niemieckiego, wyrobił się w duszy Ślązaka niebywały hart, upór, wytrwałość i zaciętość. Postępujący coraz dalej w kierunku stosowania bezprawia jako metody, system wyharadawiania, napotykał na równomiernie potęgującą się wolę przetrwania, moc akcentowania własnych przekonań i w oparciu o nie kształtowania trudnego życia.

To było przyczyną, że spośród Ślązaków stale wyrastali wodzowie duchowi, bojownicy na skalę Miarków, Lompów, Ligoniów, Korfantych czy Musiołów, że na wici powstańcze zgłaszało się do szeregów dziesiątki tysięcy, że matka śląska nigdy nie zapomniała nauczyć dziecka pacierza w języku ojczystym i opowiadać mu baśni o Tej, która przyjdzie, bo przyjść musi.

Ocena płytka a naiwna i powierzchowna, głosząca tezę o rzekomym jedynie patriotyźmie Ślązaków, ocena wysnuwana ze strzępów mowy niemieckiej, posłyszanej dziś jeszcze na ulicy Gliwic, czy Zabrza, upada z chwilą, gdy się bliżej wejrzy w duszę śląską. A język niemiecki, a „nie" na trzecie pytanie, to było czy jest nawet udziałem tych Niemców i renegatów, co się prześlizgnęli przez sito akcji wyryfikacyjnej, albo tych spośród polskich rodzin, co skutkiem warunków życiowych, będąc słabsi, ulegli naciskowi, nie zatracając jednak nigdy poczucia odrębności psychicznej od masy niemieckiej i nie raz podświadomie ciążący ku Polsce i tęskniący za Nią.

W pierwocinach pracy nad budową nowej struktury społecznej na Ziemiach Odzyskanych popełniono wiele błędów wagi częstokroć zasadniczej. Znane są one powszechnie i nie ma ich poco tutaj wspominać. Dość, że za ich przyczyną ludność autochtoniczna Śląska na długi czas zamknęła się w ramach własnej grupy, obracała się tylko we własnym środowisku, nie biorąc aktywnego udziału w formowaniu przewalającego się wokół życia i zasadniczych zmian, jakie w nowej sytuacji niosło one za sobą. Ten ekskluzywizm dzielnicowy, ścisłe zamknięcie dzielnicowe nie było wyrazem obojętności w stosunku do spraw ogólnopaństwowych i ogólnonarodowych. Było po prostu tylko naturalną samoobroną, jedyną, na jaką w danej chwili dezorientacji było stać społeczność śląską. Ten sam instynkt samoobrony, który kazał autochtonowi staczać zacięte boje z repatriantami osadzonymi mylną decyzją na gospodarstwach zweryfikowanych. Samoobroną była też wynikła z obserwacji podobnych faktów niechęć, a nawet i wrogość do grup osiedleńczych. Ślązaka nie stać jeszcze było na szerszą analizę wydarzeń, na perspektywiczny kąt widzenia. On tylko bronił swych praw do własnej ziemi.

I długiego dopiero potrzeba było czasu, stopniowej likwidacji popełnionych uprzednio błędów, by dusza śląska zaczęła się jak ślimak z zamkniętej skorupy wychylać i spoglądać trzeźwo na świat.

Wtedy to przyszły z pomocą specyficzne cechy psychiki śląskiej. Jak przedtem zacięcie dążyła ona do zachowania biologicznego stanu posiadania, tak teraz zaczęła walczyć o stabilizację życia w nowych, wyczekiwanych ongiś warunkach. Elementy wytrwałości i konsekwencji, w połączeniu z dynamiką działania sprawiły, że ludność rdzennie śląska początkowo przez akcję we własnych środowiskach, a później i na szerszej, ogólnej platformie, zaczęła brać czynny udział w montowaniu nowego tła społeczno-kulturalnego Ziem Odzyskanych.

Nie należy, rzecz oczywista, tej aktywności przeceniać. Nie dosięga ona jeszcze tych wymiarów, na jakie ją rzeczywiście stać, nie wydobyła się całkowicie z zasklepienia, w jakie popadła uprzednio, brak jej własnej błyskotliwej inteligencji, brak tradycji życia w polskim organiźmie państwowym. Jednak odgrywa dziś już dużą rolę i ta stale będzie wzrastać, oddziaływując coraz bardziej i wywierając zasadniczy wpływ na życie społeczne i kulturalne Nadodrza.

To uaktywnienie się Śląska, zerwanie przezeń z chwilową obojętnością i swego rodzaju marazmem, wpłynęło dodatnio i na inne grupy ludnościowe, zamieszkałe skutkiem ostatnich przemian na terenie Śląska i w pozostałych okręgach Ziem Zachodnich.

Postawa abstynencka wobec życia społecznego, zachowana w formie samoobrony przez Ślązaków, opacznie była rozumiana przez element osadniczy z Polski centralnej, a głównie przez szczególnie tu liczny żywioł repatriancki z południowo-wschodnich terenów zabużańskich.

Nie tak dawne to czasy jeszcze, gdy się tworzyły „Związki Lwowian", „Sarep" (Samopomoc repatriancka) itp. oparte o ścisły ekskluzywizm własnego środowiska, co oczywista, tym bardziej pogłębiało istniejące różnice pomiędzy poszczególnymi grupami.

Uaktywnienie się ludności rdzennej wpłynęło również na zmianę postawy repatriantów. Szczególnie, że i tę grupę (w odróżnieniu od bardziej melancholijnych, mniej aktywnych osadników z kresów północno-wschodnich) cechuje duży dynamizm społeczny, dla którego ramy własnego środowiska okazały się za ciasne.

Od momentu uaktywnienia społeczno-kulturalnego obu środowisk mówić można o bezsprzecznym przejęciu przez Śląsk (w pełnym zasięgu terytorialnym) prymatu duchowego i dynamiki społecznej nad resztą Ziem Odzyskanych.

Pragnąc być sprawiedliwym, uwzględnić trzeba większą znacznie zamożność kraju, charakter przemysłowy dużej jego części, większe zagęszczenie ludności, większą ilość skupisk miejskich itp. Argumenty te nie przesłaniają jednak faktu, że zespoły o mniejszej dynamice życiowej nie osiągnęłyby takich rezultatów jakie dał zespolony wysiłek ludności rdzennej Śląska z napływowym elementem z południowschodu.

Wystarczy zresztą śledzić życie na wszystkich odcinkach np. na Śląsku i jednocześnie Pomorzu Zachodnim. I tam życie rozwija się coraz bujniej, ale zawsze o pewien dystans za Śląskiem. Weźmy dla przykładu: Politechnika Gliwicka, Uniwersytet i Politechnika we Wrocławiu nie miały łatwiejszych warunków rozwoju i powstawały równie z „niczego", jak Akademia Handlowa i Wyższa Szkoła Inżynieryjna, powstające w Szczecinie właściwie dopiero dzisiaj. Teatry w Jeleniej Górze, Wrocławiu i Opolu miały już bogaty repertuar, gdy wykluwały się dopiero zaczątki teatru szczecińskiego. Kupiectwo dolnośląskie dawno już było zorganizowane i zrzeszone we własnych związkach, gdy w Szczecinie miało miejsce dopiero zebranie inauguracyjne. Turystyka na Śląsku rozwinęła się w całej pełni, gdy na Wybrzeżu tkwi dopiero w powijakach, chociaż na atrakcyjności nie zbywa jednakowo obu okręgom. Prasa, książka na Śląsku mają za sobą już dalekie numery, gdy tam przeżywa się zaledwie okres ząbkowania.

Powyższemu rozumowaniu można niewątpliwie przeciwstawić wiele kontrargumentów. Nie będą one jednak tak mocne, by po odjęciu wszystkich prerogatyw naturalnych odebrać Śląskowi prymat w dynamice społecznej i jej osiągnięciach.

To pozostaje faktem bezsprzecznym. Podobnie jak to, że właśnie na Śląsku przede wszystkim zauważa się początki formowania nowego typu społeczności ogólnopolskiej, typu ku wytworzeniu którego zmierzają chęci i umiłowania ludzi, rozumiejących sens i doniosłą rolę zachodu w pozytywnym przeformowaniu psychiki polskiej.

Charakterystyczny przykład. Przemiany czasów obecnych w myśl realizacji postulatu sprawiedliwości społecznej znajdują głęboki szczególnie wydźwięk na Śląsku. Nigdzie bowiem nie zaistniało podobne skupienie posiadaczy drobnej własności czy to miejskiej czy ziemskiej i masy robotniczej, a jednocześnie, jak rzadko gdziekolwiek, głębokie i silne są uczucia religijne ludności tak rdzennej jak napływowej. To znamienne połączenie mówi za siebie.

Obserwacja faktów nie wskazuje, by Śląsk w budowaniu nowego typu życia społecznego i kulturalnego dał się wyprzedzić innym okręgom zachodnim. Jeśli skutki dalsze i osiągnięcia będą miały saldo równie dodatnie jak dotychczas, nie należałoby mu i życzyć czegoś innego.

E. Pauksztа

Perspektywa Odry

Tryptyk świdnicki. (fot. Jerzy Kolankowski)

Zagłębie Górnośląskie połączone jest z Zagłębiem Dąbrowskim siecią komunikacji tramwajowej, kolejowej i autobusowej. Co pół godziny, każdy z wymienionych środków lokomocji przerzuca mieszkańców tego przemysłowego ośrodka z Gliwic do Katowic, z Katowic do Bytomia, z Bytomia do Będzina, z Będzina do Sosnowca. z Zabrza do Dąbrowy Górniczej. To nieustanne krążenie odbywa się dziś w ramach jednego województwa, w jednym niejako organiźmie. Ale obraz taki przypomina „widok z lotu ptaka", nie ujawnia istoty różnic, które właśnie pragniemy ukazać. Chodzi o sprawy kulturalne.

II plenarne posiedzenie Wojewódzkiej Rady Kultury, poświęcone omówieniu zagadnień kulturalnych Zagłębia Dąbrowskiego (I miało miejsce w październiku ubiegłego roku w Opolu), odbyło się niedawno w centrum tego zagłębia w Dąbrowie Górniczej. Tok obrad ujawnił właśnie istotę owych różnic, polegających na upośledzeniu Zagłębia Dąbrowskiego, w omawianej dziedzinie. Dlaczego takie miasta jak Katowice, Bytom, Chorzów, Gliwice, Bielsko, Cieszyn — że ograniczymy się do przykładowego wymienienia tylko tych kilku — posiadają własne ambicje kulturalne, przejawiające się w zakładaniu instytucyj naukowych, bibliotek, muzeów, podczas gdy Zagłębie Dąbrowskie nie okazuje prawie żadnej prężności na tym polu? Dlaczego ziemia ta i jej sprawy nie znalazły odpowiedniego odzwierciedlenia w literaturze, nie wzbudziły zainteresowania artystów? Okazuje się, że jest to „terra ignota".

Przyczyn — analizowanych zresztą podczas obrad — tego stanu, który musi się zmienić, nie należy doszukiwać się w braku wyższych ambicji mieszkańców Zagłębia, ale w braku środków i możliwości rozwinięcia szerszej inicjatywy kulturalnej.

Oczy całej Polski, skierowane obecnie na zachód, nie mogą przeskakiwać spojrzeniem terenów, położonych najbliżej centrum kraju, ale pełne troski powinny obejmować wszystkie ziemie zachodnie. Zagłębie Dąbrowskie, ośrodek ciężkiej pracy nie leży już na peryferiach „gubernii kieleckiej", zostało ono odzyskane dla ziem zachodnich. Trzeba, aby wszystkie jego aspekty kulturalne zostały wciągnięte w ich krąg.

STANISŁOW CZERNICKI

Swoboda

Był smutny czas i cemno noc,
Gnębiła nas czartowska moc,
Zaklęty był nasz dóm i próg,
Uu bróm strożowoł srogi wróg,
W' uokowe skut
Pomorski lud
Przejiscył swego betu czas,
Nodzeje pa'min znik i zgas!
Wtym woło głos: Jutrzenki brzosk?
Roztoczo ju nad namy blosk,
Ju mijo noc i świto dzeń,
Przed jasnym słuńcę pirzcho cień;
I stoł se cud,
Pomorski lud
Uu swym zabywo zmornym snie
I mocno se do żeco rwie.
Poszemi wiatru reny wiew,
Po cały Polsce jidzie spiew
Donosny jak Zygmunta zwón:
Norodze wstaji z wszetkich stron!
I zdrzucyi trud
Pomorski lud
I w słuńcu jakbe snoży moj
Rozkwito nasz swobodny kroj!
Minęła noc i przestoł grom,
Spaniały rosce Polski dóm,
A w dziejach jidze nowy czas
I wielgo chwała wito nas,
Jak kłosow rzut
Pomorski lud
Be niespotkoł nas gorszy los,
Do Boga sle błagalny głos!

MOST

Między bohaterstwem a zdradą

Daleki jestem od myśli, aby wybielać winy tych, którzy na karę zasługują; nie staję też w obronie tych lekkomyślnych, a w miarę ze zdradą skumanych młodzieńców, którzy bez żadnego sprzeciwu moralnego i fizycznego zgodzili się przywdziać mundur żołnierza niemieckiego, by pójść w jednym szeregu z podpalaczami świata ogniem pożogi wojennej. Ale uważam, że przemilczanie rzeczy i spraw trudnych, przy krych i w społeczeństwie mało popularnych jest bezwstydem „walczącej" publicystyki, idącej zbyt często po linii najmniejszego oporu w rozwiązywaniu zagadnień najżywotniejszych, najistotniejszych dla naszego narodu. W sprawie „Volkslist", która jest najkapitalniejszym problemem Śląska Górnego i Cieszyńskiego nie wiele osób zabierało głos w dyskusji. Można powiedzieć, że unikano tego nad wyraz drażliwego tematu. Czy to jest właściwa metoda w rozwiązywaniu spraw trudnych?... Takim drażliwym a zarazem trudnym i niewdzięcznym tematem publicystycznym jest także związana z zagadnieniem „Volkslisty" sprawa służby Polaków-Ślązaków w wojsku niemieckim. Czy zawinili? I w jakim stopniu? Czy też stali się ofiarami przymusu? Oto myśli, które muszą nurtować każdego, kto na Śląsku żyje. Opinia wypowiedziana na temat Ślązaków, którzy pełnili służbę w wojsku niemieckim jest jeszcze nadal pozbawiona argumentów rzeczowych i głębszej analizy. Wciąż operuje się ogólnikami, niedomówieniami. Wciąż jeszcze pokutuje duch niewiary. Rozumowanie oparte na namiętnościach, przypadkowych spostrzeżeniach zamienia się w sądy nierzetelne i uwłaczające. W artykule swoim pragnę nakreślić generalne linie, pragnę zająć pewne stanowisko zasadnicze, co nie wyklucza bynajmniej innych, pochodnych już niejako toków rozumowania i interpretacyj.

W wydanym przez „Instytut Zachodni" w Poznaniu dokumentarnym dziele pt. „Documenta Occupationis Teutonicae", opracowanym na podstawie tajnych aktów niemieckiego „Górnośląskiego Instytutu Badań Gospodarczych" w Katowicach, dowiadujemy się, że „do dnia 1. 10. 1941 powołano na samym Górnym Śląsku do wojska niemieckiego 41.000 (!) Polaków, z których tylko 815 (!) było w tym dniu wpisanych na niemiecką listę narodowościową". Wynika z tego, że otrzymanie czy też przydanie „Volkslisty" następowało już w wojsku niemieckim. Niemcy gwałcąc prawo międzynarodowe postępowali w tym wypadku jak im było wygodniej, nie licząc się całkowicie z konsekwencjami natury prawno-moralnej.

Przymus był tu stosowany niewątpliwie, można tylko zastanawiać się czy istniała możność ominięcia tego przymusu w jakikolwiek sposób. Bo wszak była i to dość pokaźna ilość Ślązaków, którzy zbiegli przed wojskiem niemieckim do t. zw. Gubernii. Wprawdzie troska o rodziny była czynnikiem hamującym te szlachetne zapały, nie umniejsza to jednak faktu, że możność ucieczki istniała. Sprecyzowanie jednak sądu w wyrok apodyktyczny wydaje mi się rzeczą nienaturalną, gdyż na stan decyzji wpływała cała gama przyczyn dodatkowych, o których już była mowa niejednokrotnie przy analizowaniu sprawy „Volkslisty" na Śląsku.

Byli i tacy — co prawda nie liczni — którzy poszli do wojska niemieckiego jako „dobrowolcy". Tych musi opinia polska zdecydowanie potępić i usunąć ze swego środowiska. Winni oni podzielić los tych, których niemieckość nigdy nie ulegała wątpliwości i których zachowanie się w okresie wojny było łatwe do przewidzenia. Lecz do wszystkich innych, tej zasadniczej masy polskiej, musimy odnieść się podobnie jak i do zagadnienia „Volkslist". W wypadkach, kiedy zachodzi podejrzenie szkodliwego działania na niekorzyść narodu, należy podać osobnika gruntownym badaniom, przy czym nie bez znaczenia będzie również opinia, jak zachowywał się będąc w wojsku.

Wracam do zasadniczego twierdzenia: przymus był stosowany przez Niemców przy werbowaniu Polaków do wojska niemieckiego. Stwierdził to m. in. delegat rządu polskiego min. J. Winiewicz w dniu 28 listopada 1946 roku, na posiedzeniu komisji społeczno-humanitarnej O. N. Z., oświadczając, że: „rząd polski jest świadom tego, że tysiące Polaków wcielono do armii niemieckiej pod przymusem"... O tych właśnie pragnę pisać. O tych ludziach, którzy niczym nie sprzeniewierzyli się sprawie polskiej, a których los sprzęgnął ze zdrajcami i „freiwilligerami". Czyż można obwiniać młodzieńca z obozu koncentracyjnego, że na zapytanie komendanta: „wojsko niemieckie czy barak śmierci" — wybiera to pierwsze? Pisze o nim Zbyszko Bednorz w swej pięknej książce pt. „Śląsk wierny Ojczyźnie", że wyznał mu ten „żołnierz niemiecki" tak szczerze i po prostu... — „zgodziłem się wstąpić do wojska niemieckiego. Dlaczego? Narodowości mojej nie zmieniłem. Zmieniłem tylko metodę walki. Ja będą żołnierzem armii niemieckiej, ale nie żołnierzem niemieckim!" W tej bezpośredniej i niestylizowanej odpowiedzi kryje się cała głębia tragicznych splotów i prawdziwych uczuć, jakie żywili Ślązacy, żołnierze armii niemieckiej. Skrycie, a czasem nawet półjawnie działali oni na niekorzyść swego prawdziwego nieprzyjaciela, nie kryjąc się nawet zbytnio ze swym wrogim stosunkiem do niemczyzny, odmawiając przysięgi, podkreślając zawsze i wszędzie swą polskość i to, że w wojsku niemieckim znaleźli się tylko z przymusu. Dowództwo niemieckie patrzyło na te objawy uczuć polskich z lekceważącą obojętnością, wierząc, że nie mogą one wyrządzić armii niemieckiej żadnych szkód. Zdaniem większości niemieckich dowódców była ona scementowana od wewnątrz w stop jednomyślności i żelaznej dyscypliny. Nic poza przewagą siły nie mogło ich zdaniem znieść, ani osłabić jej ducha. Jakżeż się mylili!

Przyjęcie siłą narzuconej „Volks listy" stało się podstawą do masowego poboru do wojska niemieckiego. I wtedy to rozpoczęły się starania o zmianę tzw. „palcówki" z „deutsch" na „polnisch" (o czym pisze Bednorz w swej książce), rozpoczął się bierny opór tych wszystkich, którzy nie przyjęli jeszcze „Volkslist". Ale Niemcy nie przebierali w środkach, gdy chodziło o zwiększenie kadr swojej armii. Bednorz wspomina o wypadkach, kiedy Niemcy **ad asum** armii robiono nawet tych, którzy wyraźnie oświadczali, że brali udział we wszystkich trzech powstaniach śląskich i że czują się stuprocentowymi Polakami! Nie wystarczało to jednak piewcom wymarzonej germańskiej wielkości. „Nie ty wiesz kim jesteś, lecz my wiemy" — odpowiadali, dławiąc każdy opór najbardziej nawet przekonywującej argumentacji.

Alojzy Targ w swej książce pt. „Śląsk w okresie okupacji 1939 — 1945", potwierdza opinię o przymusie, który zwłaszcza w drugiej fazie wojny stał się bezwzględny. Nie zważano na nic przy wyborze rekruta. Były liczne wypadki automatycznej zmiany „Volkslisty" niższej kategorii na wyższą lub nadawania jej zaocznie; byle tylko zyskać żołnierza dla mocno już nadwyrężonego frontu.

*

Wpadł mi w ręce wiersz niejakiego Jana Lisztwana, pochodzącego ze Śląska Cieszyńskiego, wiersz pisany w ostatnich godzinach życia w więzieniu berlińskim, a przeznaczony dla matki. Lisztwanowi, żołnierzowi niemieckiej „Nachrichtentruppe" udowodniono działalność szpiegowską na rzecz „nieprzyjaciela". W tych ostatnich chwilach swego życia zapewne Lisztwan nie kłamał, składając w swym „Ostatnim Raporcie", poświęconym kolegom z Legii Akademickiej przedśmiertny meldunek:

„melduję posłusznie, iż ślub
stukreskowy
za wolą Boga z nadwyżką
spełniony,
a jam dla Ojczyzny umierać
gotowy,
od siebie żołnierskie zasyłam
ukłony."

Wasz Janek — żołnierz L. A.

Czytając list tegoż Lisztwana, pisany z więzienia berlińskiego do matki. List pisany był po niemiecku. Inaczej nie przepuściłaby go cenzura. Z martwych — zdawałoby się — liter przebija cała wielka tragedia tego młodego człowieka, który ani przez chwilę, pełniąc służbę w wojsku niemieckim, nie przestał być żołnierzem polskim. Każdą myśl poświęcał on Tej, która w jego sercu nigdy nie zginęła, i dla której oddał swe młode życie. Przyłapany na gorącym uczynku przekazania drogą radiową wiadomości „wrogowi" na froncie wschodnim, zginął osądzony na śmierć. Jakżeż prosi on swą matkę, aby dbała o jego cześć po śmierci. Jakżeż obawiał się sądu nierzetelnego, on, który oddał całego siebie sprawie. Bał się, że zewnętrzne oznaki przynależności do armii niemieckiej zatrą ślad prawdy. Takich jak Lisztwan było więcej. Szli do wojska niemieckiego z przymusu, z wolą służenia swej prawdziwej Ojczyźnie — Polsce. Jeszcze raz powtarzam: skala cen tych, co nosili mundur niemiecki musi być różna. Od bohatera do... zdrajcy. O tym nigdy nie wolno zapominać. Lecz przygniatająca większość spośród tych, co powiększyli szeregi niemieckiej armii, to szara brać górnicza, oporna lecz niezbyt błyskotliwa w decyzjach, zastygła w bezmowie tragicznego protestu, nosząca żal do losu, któremu nie umiała się oprzeć. Ich bierny opór ożywiał się dopiero w wojsku. Tężał, przeciskał się przez stalowe obręcze niemieckiej dyscypliny. Polacy-Ślązacy zwięk szyli kadry niemieckiej armii — to prawda. Lecz jeśli stwierdzamy z nieodwołalną pewnością, że sztucznie nadęta wielkość, podana niewolnie partyjnej dyscyplinie, wykazywała jednak rysy i pęknięcia w strukturze jedności i jednomyślności tej armii — to do stanu tego przyczynili się też niewątpliwie Ślązacy. To, co miało zwiększyć potencjał militarny Rzeszy, stanowiło jej słabość. Polacy w armii niemieckiej, a przy najmniej ich zdecydowana większość, byli bakcylami rozkładu. One to drążyły opokę moralną żołnierza niemieckiego, walczącego na kleiku cienkiej i lekkostrawnej goebbelsowskiej propagandy. Długoletnie zmagania uczyniły żołnierza niemieckiego, mimo rozpaczliwych wysiłków mistrza zakłamania Goebbelsa, skłonym do chętnego nadstawiania ucha na wiadomości, które by mogły utwierdzić go w przekonaniu, że wojna „musi" skończyć się szybko. Nie chodziło tyle o wynik, co o upragniony koniec, koniec mąk i rozpaczliwych a bez nadziejnych wysiłków. Ciągłe bombardowania demoralizujące i stąd powstała obawa o los najbliższych, stan ten czyniły zapalnym. Żołnierzem targał niepokój o życie nie tylko własne, ale i bliskich.

Już dawno przestał wierzyć w Rosenberga hipertezy o swoim rasowym posłannictwie — pragnął spokoju, za wszelką cenę spokoju. Polacy przywozili z urlopów ciekawe wiadomości, które zdawała się potwierdzać żywa rzeczywistość. Rok 1943 i 1944 czyni żołnierza niemieckiego „otwartym" na wszelkiego typu oddziaływanie z zewnątrz. Dzieje się to głównie przez obconarodowy element, służący w wojsku niemieckim, przez jeńców oraz przez oficjalną propagandę sojuszniczą (akcja ulotek, radio etc.). Przypomnijmy sobie pierwszą wojnę światową. W podobnym stanie ducha znalazł się żołnierz niemiecki dopiero w ostatnim roku wojny, kiedy propaganda angielska — daremnie siląc się przez pierwsze trzy lata — złamała „morale" żołnierza niemieckiego w ciągu paru miesięcy. Przeciągająca się wojna, stałe i konsekwentne propagandowe oddziaływanie uczyniła go chłonnym i podatnym na przyswajanie jej.

Na froncie Polak-Ślązak czuł się w wojsku niemieckim swobodniejszym. Posługiwał się przeważnie językiem polskim, słuchał radia angielskiego, wspomagał rodaczą brać cywilną radą i otuchą, szydził z niemieckich zarządzeń, szerzył defetyzm i niewiarę w szeregach. Setki wyroków na „zdrajców", to najwspanialszy pomnik, wystawiony prawdzie, nieodkrytej niestety jeszcze dla szerszej rzeszy naszego społeczeństwa.

Niemcy nie dowierzali Polakom w wojsku niemieckim. Posyłali ich na najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne odcinki. Czyż by popełniali pomyłkę?... Nie. Dywersja, sabotaż, dezercja — oto czym się trudnili Polacy w wojsku niemieckim. Zapewne, że nie wszyscy. Szkodzili swym panom jak mogli, jak umieli. Drogo okupywali Niemcy swą bezdennie lekkomyślną metodę stosowania przymusu. Jakże byli zaślepieni. Czyż dziwić nas może depesza jednego z dowódców armii niemieckiej na froncie wschodnim, w której żądał on natychmiastowego wycofania z frontu żołnierzy niemieckich, pochodzących ze Śląska.

Biskup katowicki, Adamski w swym memoriale na temat sytuacji narodowościowej w okresie okupacji, wspomina o licznych faktach przechodzenia żołnierzy armii niemieckiej, Polaków z Górnego Śląska na stronę rosyjską, by zasilić tam szeregi armii polskiej. O tych faktach, bynajmniej nieodosobnionych, wie dobrze opinia Śląska. W angielskiej Izbie Gmin, w odpowiedzi na interpelację jednego z posłów, przedstawiciel rządu brytyjskiego oświadczył w sprawie Polaków, służących w okresie wojny w wojsku niemieckim, że liczba ich wynosiła 59 tysięcy (?). Służyli w armii niemieckiej pod przymusem. Niejednokrotnie starali się zbiec z wrogiej armii, przypłacając nierzadko te swoje usiłowania życiem. Armiom sprzymierzonym oddawali wielkie usługi.

Gdy nastał czas urlopowy, Polacy-Ślązacy wykorzystywali ten okres dla uprawiania szkodliwej dla interesów niemieckich „Flüsterpropagandy". Pisze o niej wyraźnie landrat katowicki w swoim sprawozdaniu sytuacyjnym z grudnia 1942 roku. Jego zdaniem „górnośląscy urlopnicy beznarodzeniowi nie przyczyniali się bynajmniej do utrwalania „morale" swojej „ojczyzny". Wiemy skąd inąd, że opowiadania tych urlopników siały popłoch i zamęt, stwarzając atmosferę rzetelnej grozy i świadomości beznadziejności. Żołnierze ci złorzeczyli swemu losowi. Podkreślali swą polskość manifestacyjnie i publicznie. Pod ochroną znienawidzonego munduru śpiewali pieśni patriotyczne, wyrażając w nich swoje niekłamane uczucia. Mundur nie zmienił ich. Pozostali w sercu Polakami. Bez zastrzeżeń. Narodowy obowiązek wypełniali na swój sposób w różnych okolicznościach służąc polskiej sprawie, która nie przestała nigdy być ich własną.

Most

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

Przekrój polskiego ośrodka

Przy rozpatrywaniu sytuacji Polaków w angielskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej na terenie Niemiec, nie sposób wyzwolić się od pesymizmu w równym stopniu głębokiego i beznadziejnego, jak pesymizm przeżuwających resztki nieziszczonych nadziei emigrantów.

Ci ludzie, po półtorarocznym wyczekiwaniu nie widzą przed sobą nic więcej, jak właśnie nic, ogromne **NIC.** Jeśli niekiedy, pod wpływem stanów psychicznych, wynikających z liryki trawienia unrrowskiej czekolady, rozpogadzają aurę świata myśli i skłonni są przypuszczać, że nie jest jeszcze tak bardzo źle i że jutro może być lepiej — to działa tu zwykła, notoryczna skłonność do samooszustwa, do bujdozofii i wygodnictwa, do wyszukiwania dróg i ścieżek tchórzliwej ucieczki przed prawem i siłą rzeczywistości.

Dzisiaj odebrano im już unrrowską czekoladę wraz z ostatnimi złudzeniami, dzisiaj korzystają z niemieckich kart żywnościowych i trawią czarny niemiecki chleb tak samo, jak przed kilku laty.

Chcąc rozprawiać swobodnie o wysiedleńcach, którzy z takim samozaparciem skazali się na pobyt w Niemczech, należałoby zacząć „od początku", po „kartezjańsku" z zasadniczą różnicą od wrócenia receptą materializmu historycznego, odwrócenia w sensie i w czasie zasady „cogito ergo sum" — na „byłem więc myślę".

Więc myślę, że z czytelnikiem polskim powinienem tak postąpić, jak postąpiłem z pewnym wysokim urzędnikiem UNRRY Mr. A., zaprzyjaźniony ze mną, poprosił mnie pewnego dnia, żebym mu wyjaśnił, dlaczego Polacy właśnie tak myślą, dlaczego jedni wrócili do kraju, a inni pozostali w Niemczech.

— Gdzie jest ta „Ziemia Obiecana"?

W odpowiedzi zaproponowałem mu zwiedzenie pewnego ośrodka polskiego w miejscowości F. koło Monachium.

Zgodził się.

Zajęliśmy miejsca w dużej sali przy jednym z ciężkich, dębowych stołów. Jadalnia była podzielona na dwie części — w środku, na podwyższeniu, stało hebanowe pudło „Bechsteina".

Zacząłem mówić:

— Ludzie, których tu widzisz, mieszkają w prywatnych mieszkaniach niemieckiego miasteczka F. Do tej sali przychodzą dwa razy dziennie na obiad i na kolację. W soboty i w niedziele ubierają się staranniej niż zwykle, w te dni wieczorami można tańczyć — więc tańczą. Raczej „tańczą się", tu wszystko **robi się**: śpi się, czyta się, chodzi się, modli się, myśli się, czeka się...

Gazety czytają równie niechętnie i bezmyślnie jak książki. Trudno uwierzyć im, że żyją. Odnosisz zapewne to samo wrażenie: znajdujemy się w sali jadalnej sanatorium, którego pacjenci cierpią na pewną mieszaninę nostalgii, hamletyzmu i lenistwa...

Po lewej stronie siedzą ludzie z towarzystwa, ludzie którzy najgłupsze rozmowy określają jako dyskusje. **Na prawo — tam — zajął miejsce „proletariat", ludzie pracy. Patrzą ponuro sponad talerzy na tę drugą stronę, oczekują od niej, zbawienia. W Ameryce, we Francji, w Kanadzie i... w Polsce, najchętniej w Polsce! Brak im jednak odwagi na decyzję, potrzebują jakiegoś bodźca, może być nim głód, przymus, lub dobry przykład tych, na których patrzą.** Nakarmiono ich łgarstwami, bez pomocy palca przywódcy nie mogą ich zwymiotować.

Ten starszy pan, który siedzi przy oknie jest zubożałym hrabią. Zna język angielski, marzy o dobrej posadzie, jednak nikt nie chce go przyjąć. Niemcy tytułują go „Herr Graf", to łechce mile ucho. Może dlatego pan „graf" nie wraca do Polski? Miejsce po prawej stronie zajmuje jego kuzynka, nauczycielka i społecznica. Jest zdecydowaną antysemitką i odwiedza w szpitalu niemieckich inwalidów polskiego pochodzenia. Tych nawraca na polskość nieumiejętnie redagowanym piśmidłem „Słowo Polskie" i mocarstwowo-nacjonalistycznymi broszurami Ryszarda Wragi. Mówią o niej, że „poświęciła się pracy społecznej".

Wokół tej pary siedzą ludzie, którzy nas nie interesują. Łotysze i Estończycy. Ta smukła blondynka miała brata, był członkiem SS. Zginął bohaterską śmiercią w jednym z ghett żydowskich; na tę pamiątkę siostra, blondynka, nosi jego fotografię w medalionie, na sercu...

Dziewczyna, która tak krzykliwie rozmawia z brzydką, wysoką koleżanką, włada poprawniej językiem niemieckim niż polskim.

Pytasz, co ona tu robi?

To „robi" nie tylko ona. Jest takich więcej. Patrz na panów, którzy wychodzą z sali. Ten niższy był teletechnikiem w armii niemieckiej, a wysoki brunet lotnikiem niemieckim, „Englandflieger". Mijają się z tęgą szatynką. Ma czworo dzieci i szoruje podłogi w biurze pewnej instytucji. Pytałem, dlaczego nie wraca do Polski, dlaczego niszczy przyszłość swoich dzieci, dlaczego siebie skazuje na Niemcy?

Odpowiedziała, że nie wróci, bo „tam" są bolszewicy, bo dzieci wychowują się (znowu: się!) na bezbożników i antychrystów.

Zapytałem na „chybił trafił", w którym roku podpisała Volksliste.

— Skąd pan o tym wie?! I przy znała się.

Pan z wąsami, który usiadł obok niej, jest jej ojcem. Miał w Polsce duży młyn, polski rząd pomógł mu w budowie piekarni. Był bogatym człowiekiem — dzisiaj handluje nielegalnie jabłkami. Czemu pan nie wraca? Odpowiedział — zimno jeszcze, może na wiosnę... A zresztą pewno wojna wybuchnie, no a potem naturalnie, wtedy co innego...

Temu panu z wąsami zdaje się, że po owej wojnie — on, Volksdeutsch pierwszej kategorii, wróci w chwale do swego młyna i do swojej piekarni.

O jakiej Polsce ci szaleńcy marzą?

O jakiej Polsce mówią publicyści i przywódcy emigracji?

Mówiłem tym ludziom o Polsce, opowiadałem im, jak chłopcy budują Warszawę, jak pracują huty śląskie, jak krzepko robotnicy trzymają narzędzia w dłoniach, jak rolnicy nad Odrą uprawiają polską ziemię. Tłumaczyłem im, że **ci ludzie, którzy pracują w trudnych, powojennych warunkach — nie będą dla nich, ogłupionych próżniaków, wznosić domów**, że ci sami muszą wraz z nimi budować Polskę. Uśmiechali się sceptycznie i mówili: „być może, być może..." Pokazywali jakieś antypolskie wycinki z „Żołnierza Polskiego", ze „Słowa Polskiego", „Tygodnika Polskiego", „Dziennika Polskiego" — z tych wszystkich gazet, które tak haniebnie nadużywając słowa „Polska", zatrzymały poza jej granicami dziesiątki tysięcy zdolnych do pracy ludzi, oszukały ich — obiecując niezliczone korzyści w razie pozostania — i równie niezliczone prawa po wojnie, na które „czeka się".

Ten niski, suchy człowieczek, który tak zabawnie porusza górną wargą — wierzy też w wojnę. Twierdzi, że musi wybuchnąć, przesuwał już kilkakrotnie termin i jest przekonany, że Polska powinna spełnić swoje dziejowe posłannictwo, że musi być Chrystusem Narodów. Jego filozofia streszcza się w takich założeniach: tu, na emigracji, żyją cierpiętnicy za miliony. Zaś Polska obecna jest „pawiem narodów i papugą", dlatego żyją tam tylko pawie i papugi. On nie chce powiększać ich grona, woli tu, na żebraczym chlebie cierpieć za Polskę i kontemplować.

Spójrz na blondyna o małej główce osadzonej na szerokim karku, podchodzi do tego mesjanisty; prześladuje go od dłuższego czasu, namawiając złośliwie na powrót do Polski; zatruwa mu w ten sposób każdy posiłek. Tego chłopca zwolniono przed dwoma miesiącami z więzienia, jego wypadek jest typowym na tle stosunków panujących w tej strefie.

Ten starszy pan, który siedzi przy oknie, jest zubożałym hrabią.

Otóż po opuszczeniu obozu koncentracyjnego Dachau w pasiastych łachmanach, otrzymał pracę w amerykańskiej kuchni. Ofiarowano mu podniszczony mundur amerykański, cywilnego ubrania nie miał. Po sześciu miesiącach bezpłatnej pracy (pracował tylko za wyżywienie!), policja amerykańska zatrzymała go na ulicy, kazała mu rozebrać się, oddać mundur — i puściła w bieliźnie do domu. W niedługim czasie został wezwany do sądu Zarządu Wojskowego. Skazano go na trzy miesiące więzienia. W więzieniu, na tym czteroletnim więźniu politycznym, znęcała się niemiecka policja. Nic dziwnego, że dokucza temu staremu osiołkowi.

Przychylmy się cokolwiek w ich stronę, posłuchajmy o czym mówią:

— Utopicie się w swoich śmiesznych urojeniach i uroszczeniach. Nawet weseli architekci domków z jazz'owych synkop i dyplomowani hodowcy pingwinów na księżycu, czy też stangreci Wielkiego Wozu, jakich nie zbywało w podwarszawskich Tworkach, legitymowali się większym poczuciem odpowiedzialności za irrealność własnych losów niż wy, bladzi „donkiszoci" nieistniejących wiatraków.

— Ależ panie! Czego pan ode mnie chce? Ja nikogo nie namawiałem, nie prosiłem, żeby pozostali, oni sami rozumieją, że dzisiaj prawdziwy Polak na znak protestu musi pozostać tutaj!

— Jak długo można pozostawać? gdzie jest ta ziemia obiecana dla nich?

— Nie jest tak źle, młody człowieku. Jesteśmy przecież problemem dla Ameryki, dla Anglii, w ogóle problemem dla „demokracji zachodniej!"

— Czy wie pan kim jesteśmy? W oczach Amerykanów niespokojnym zbiorowiskiem nierobów i przestępców, w oczach demokracji zachodnich — ciężarem, którego należy się pozbyć, w oczach Rządu Polskiego — zbałamuconymi propagandą ludźmi, w oczach Anglii — głupcami, którzy niepotrzebnie za nią umierali!

A we własnych oczach? Niech się pan nad tym pytaniem zastanowi. Przyjdę po odpowiedź w czasie kolacji.

— Niech pan nie przychodzi!

— Przyjdę napewno. Gdybym się spóźnił: proszę zaczekać.

Interesujące? Zapewne. Dla ciebie interesujące w tym samym stopniu, jak fakt, że on i że inni, którzy myślą tak samo, nie wrócili dotychczas. Dlaczego?

Przyczyn jest wiele. Najważniejsza z nich straciła znaczenie. Myślę o propagandzie emigracyjnej, która ostatnio przerażona warunkami, w jakich znaleźli się Polacy w Niemczech — porzuciła natchnione prorokowanie o ich przyszłości i stara wycofać się **po angielsku** z tej sytuacji.

(Wycofać po angielsku! ileż aktualności i trafności posiada to powiedzenie!)

Dziś pierwsze miejsce zajmuje inna przyczyna: tym ludziom chodzi o gwarancję, że po powrocie do Polski otrzymają mieszkanie i pracę, która pozwoli im utrzymać się z zarobków na powierzchni uczciwości. Gdyby można było każdemu z nich wręczyć tutaj, w Niemczech, adres mieszkania w Polsce — wyjechaliby już dawno.

Są jeszcze inne przyczyny, pozornie błahe: listy. W większości wypadków ci, którzy otrzymali wiadomości od swoich rodzin, wyjechali.

Sytuacja jest taka, że w Polsce ludzie piszą listy, piszą do tych, którzy są tutaj, wzywają ich — jednak ilość wysłanych listów nie pokrywa się z ilością otrzymanych. A jeżeli ktoś otrzymał list — to conajmniej z miesięcznym opóźnieniem.

Giną listy, giną tak, jak ginęli ludzie w obozach niemieckich. Kwalifikuję to zjawisko, jako zbrodnię powojenną. Przecież listy żyją słowami powiedzianymi daleko, przybliżają te słowa, żyją tęsknotami, których nie umiemy przekazywać inaczej. Jaką wymowę posiada chociażby koperta z ich nazwiskiem, z dużym, wyciętym nierówno naklejonym znaczkiem!

Gdzie są komory gazowe dla listów z Polski? Kto je zbudował?

Sądziłeś dawniej, że tym ludziom musi się zagwarantować pomoc i opiekę, że cały świat powinien uznać ich postawę demokratyczną — ponieważ oni kochają wolność, ponieważ kochają prawa człowieka i obywatela — i dlatego nie wracają do kraju. Dzisiaj znasz ich. Umiesz przeczytać ich etykietę „emigracja polityczna". Wiesz, że dla większości z nich istotą tej polityki są „kołacze bez pracy".

Są tu również spadkobiercy ideologiczni twórców Berezy Kartuskiej. W jakimś nieprawdopodobnym wypadku dojścia do władzy w Polsce, nie uznaliby nigdy członków partii lewicowych za „emigrantów politycznych". Są odnogą tych z Anglii, o których pisze Pomian („Ku Najjaśniejszej z Gwiazd", wyd. Edinburgh, Anglia, 1944 r.), **Czyż ma wrócić w tryumfie ta cała swołocz z zaleszczyckiej szosy? Mają wrócić w glorii bohaterów ci wszyscy, co teraz tyją, opalają się, walczą o kariery i „cierpią" po różnych miejscowościach Anglii? Oni mają budować nową Polskę?"**

Spójrz na tego z sumiastymi wąsami — to jest tak zwany prezes, jeden z licznych prezesów nie istniejących stowarzyszeń. Powiedział mi otwarcie:

— Stoimy w obliczu zagłady. Nie mamy żadnego nazwiska, żadnej wielkości, operujemy frazesami bez pokrycia, obietnicami bez perspektywy. Nasza ideologia to balon wydęty zepsutym powietrzem wczorajszej Europy.

Zapytałem go, dlaczego on, znany i szanowany prezes, nie napisze na ten temat, dlaczego nie mówi głośno o tym?

Uśmiechnął się blado: — kto wydrukuje mi taki artykuł? Kto przemyśli ten problem? Zjedliby mnie, zagryźli, sprzątnęli!

Jego zdecydowanym przeciwnikiem jest ten niski, krępy mężczyzna w francuskiej bluzie, stoi oparty o fortepian i słucha jak jego przyjaciel, gra „Błękitną Rapsodię". Wydał przed tygodniem tom poezji i prozy, najchętniej ukamieniowanoby go za to. Czekał rok na listy, które wysłano i które nie doszły, wkrótce wraca do Polski. W tomie tym pisze do przywódców emigracji:

„Wojna, która przeorała ogniem i żelazem ziemie Europy, która odebrała morderczo życie milionom ludzi — nie zmieniła tych, co uzurpują sobie prawo do prowadzenia nas. Czy oni przespali te lata? Czy nie widzieli spalonych miast? Czy nie zrozumieli sensu wydarzeń, nie pojęli, że na polach bitew i w „kacetach" nasi bracia ginęli po to, żebyśmy dzisiaj inaczej myśleli niż wczoraj?

— Ja wiem i wy też o tym wiecie, że polski robotnik, który uprawia niemieckie pola, górnik z angielskiej kopalni, robotnik karczujący podzwrotnikowe lasy i uwięziony w polskim mieście student — zapytają was, coście z nimi uczynili, dokąd zawiedli?

I zapytają, kto im zwróci lata spędzone w obozach, w obcych mieszkaniach, w więzieniach wygnania?

I zażądają zdania rachunku za głodne jesienne i mroźne zimy, za gorzkie i przeklęte dni bez Polski. Moje słowa okażą się wtedy proroctwem. Ale Polsce nikt nie zwróci tych ludzi rozrzuconych po świecie, zgubionych, wplecionych na zawsze w życie innych narodów.

Wyście okradli ich z Polski — a Polska nie była tym, czym wam się wydała — ale była przede wszystkim powietrzem, tlenem dla ich płuc!"

Inni mieszkańcy ośrodka, którzy wchodzą i wychodzą z tej sali, to Polacy przywiezieni kilka lat temu w zaplombowanych wagonach. Nie myślą, nie zastanawiają się nad niczym. Patrz — wstali, przechodzą do drugiej sali, będą grać w karty i pić mdłą, farbowaną wodę, nazywaną lemoniadą. To są dzieci, wyprute całkowicie z resztek życiowej aktywności. Właśnie tacy wywiesili swoje skomlące egzystencje tuż obok suszącej się bielizny na kolczastych drutach obozów. Napasły się tym płaczliwym widokiem coraz bardziej niechętne oczy przyjaciół i sycące się jawnym tryumfem oczy Niemców.

Jeżeli P. U. R. dostarczy im nareszcie intersujących i obiektywnych wiadomości o tym, co dzieje się w Polsce i co czeka ich w Niemczech — wrócą. Musi się znać tych ludzi, rozumieć ich dobrze, tu nie trzeba „propagandy młota", ta ich nie wzruszy.

Podróżowali pieszo przez pustynie obozowego życia, zdążali krokami obietnic do zbawczych oaz. Zdawało się niekiedy, że już dochodzą i za każdym razem przekonywali się, że łudził tylko miraż uznawania ich praw przez aliantów, miraż nadejścia jakichś pomyślnych wydarzeń, miraż emigracji...

Jedna jedyna oaza nie ma dotąd fatamorganistycznego charakteru.

Tą oazą jest Polska.

Wieczór poprzedzający dzień mego wyjazdu, spędziłem z moim cierpliwym słuchaczem, Mr. A. Rozmawialiśmy o ludziach, których przedstawiłem mu w czasie obiadu.

Pożegnałem się z nim tego wieczoru, być może, że na zawsze. Powiedział mi, że jeżeli „tam" będzie mi źle, to powinienem wrócić, mogę zawsze na niego liczyć...

Odpowiedziałem mu.

„Nawet, gdyby „tam" było bardzo źle — Mr. A. — nie wyjadę z Polski. Polska była naszą jedyną tęsknotą wtedy, kiedy smażyliśmy się w himlerowskich piekłach obozów. **Być wolnym — to znaczyło być w Polsce. Dlatego wracam.**

Szkoda, że pan nie wie — Mr. A. — co to znaczy „POLSKA"...

Andrzej Wydrzyński.

MARIAN PIECHAL

Wiersze

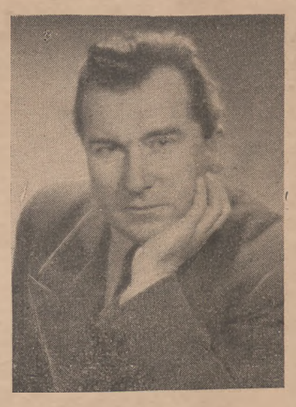

Kołysanka wrześniowa

Gdyśmy kraj opuszczali
wrzesień w lasach się palił
cały w owadzich muzykach,
wszystkie drzewa na ziemię
strącały swe płomienie
w złocistych językach.

Chłodnym duchem jesieni
tak nagle nawiedzeni
struchleliśmy jak w burzy,
niejeden w śmierć owinięty,
jak owad mrozem ścięty
w płatek białej róży.

Trumny im wyciosamy
z tej, co w sercu mamy
pieśni naszej ludowej,
aby spod ziemi czarnej
na świat łez i męczarni
nie wychylali głowy

Do kraju zaniesiemy
to, co przy nich znajdziemy
chronione od zgnilizny:
skarb nad wszystkie klejnoty,
ich sen najbardziej złoty —
tęsknotę do Ojczyzny.

Reszta — zachodu nie warta
do gołej kości zżarta
przez wygłodniałą nędzę:
wyzbytą wszelkiej treści
zgodnie się z Prawem umieści
w ziemi jak w księdze.

Kiedyś ją odemkniemy,
każdego z niej wyjmiemy,
cisi i uroczyści,
jak żuka zielonego
z zimna zdrętwiałego
spod jesiennych liści...

1939

Boże pióro

Znów z mapy wykreślona, na części rozdarta,
tym rozdarciem w otwartą biblię przełamana,
której każda natchniona przez poetów karta
krwią ludzką i piorunem boskim drukowana.

Znów historię nam piszą szczudła i piszczele,
błędnymi ognikami tlą czaszek skorupy,
i jak pod cięciem kosy dzień po dniu się ściele,
i znów się w stare groby kładą nowe trupy.

Tylko od gór, trącając zagonów klawisze,
ten sam wiatr co przed laty wyfruwa nad pola
i liście budzą senną po dolinach ciszę,
zawieszone na drzewach jak harfy Eola.

A od morza te same wód gorzkich ataki
i chmury pełzną spuchłe od ognia i gniewu,
a bliżej pszczoły w kwiatach, a nad nimi ptaki
na łodyżkach własnego rozkwitają śpiewu.

Nad płaskimi brzegami Noteci i Warty
te same co przed laty słychać z ziemi brzmienia,
a nad Odrą i Olzą bije młot uparty,
by z niewoli iskierkę wykrzesać natchnienia.

Nad Wisłą chłop swe konie zakłada w uprzążki
i zapuszcza pług śladem końskiego kopyta,
a odwracając skiby jak stronice książki
niezmienne od prawieków dzieje ziemi czyta.

Bo człowiek nie ma ognia, wiatrów, co niczyje,
wód, barwionych przez ranne i wieczorne zorze,
lecz ziemi tylko tyle, co stopą nakryje,
potem własnym użyźni i pługiem zaorze.

Dlatego wątpić darmo i rozpaczać darmo,
bo niezależnie od nas świt w obłokach dnieje,
strumień niepowstrzymany kraje ziemię czarną
i czas poza człowiekiem toczy swoje dzieje.

Więc i wierzba jak zwykle nad strumieniem drzemie,
aż zwali się do wody z odbitą w niej chmurą,
a ostateczny wyrok w tę tragiczną ziemię
oprawne w błyskawicę wpisze Boże Pióro.

Tymczasem, Muzo, ucz nas przez te chmurne lata
marzyć kraj wciąż piękniejszy, ojczyznę wciąż szerszą
i szukać Jej po wszystkich lądach tego świata
i nie znaleźć Jej nigdzie — tylko w drobnym wierszu.

1940.

Oba utwory wyjęte z tomu *„Wierszy Wybranych"*, który ukaże się wkrótce nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".

Co robią Niemcy

Centralizacja, federacja, okupacja — Żeby Niemcy mogły znowu oddychać i żyć — Obrona Żydów

PRZYSZŁOŚĆ Niemiec w ujęciu polityków krajów zwyciężskich wygląda rozmaicie. War to chyba w tej chwili, która jest chwilą ostatecznych rozstrzygnięć w sprawach Niemiec, przypomnieć, jak kształtowały się od zakończenia wojny poglądy polityków międzynarodowych na formy życia państwowego Niemców. Minister Mołotow w Paryżu dnia 10 lipca 1946 r. oświadczył, że nie o to chodzi, by „Niemcy zniszczyć, lecz, by zamienić je w demokratyczne, pokój miłujące państwo". Dalej powiedział on, że w tym celu koniecznym jest stworzenie Niemiec zjednoczonych, ale, gdyby naród niemiecki w drodze ogólnego politycznego plebiscytu doszedł do przekonania, że bardziej odpowiada mu forma państwa federalistycznego, ze strony Rosji nie będzie się przeciw tej jego decyzji protestować. Minister Stanów Zjedn., Byrnes, w swej słynnej mowie stuttgartckiej opowiedział się za Niemcami związkowymi, ale i za szybkim utworzeniem tymczasowego rządu niemieckiego. Brytyjskie memorandum na londyńską konferencję wstępną najlepiej określa brytyjski punkt widzenia w tej sprawie. „Niemcy... nie mają być ani luźnym związkiem państw autonomicznych, ani państwem mocno centralistycznym". Anglicy pragnęliby widzieć jeden rząd centralny oraz dwie izby; do jednej weszliby wybrani przez naród reprezentanci, do drugiej — przedstawiciele poszczególnych państw. Najdalej idącym w kierunku federacji jest francuski punkt widzenia. Określa go także memorandum złożone w Londynie. Czytamy w nim: „Niemcy winny być związkiem odgraniczonych wzajemnie państw niemieckich, w którym główne uprawnienia posiadać będą poszczególne państwa. Funkcja rządu związkowego ograniczyć się winna do następujących dziedzin: skarb, wyżywienie, komunikacja, poczta oraz pewne sprawy gospodarki i polityki zagranicznej". I dalej memorandum francuskie przyznaje poszczególnym państwom

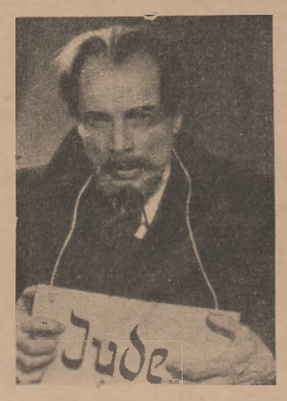

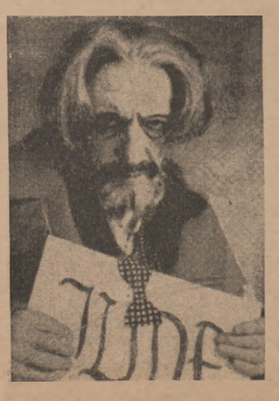

Fryderyka Wolffa dramat „Profesor Momlock" wystawiony został dotąd w 35 teatrach niemieckich. 15 dalszych teatrów ma go wystawić jeszcze w bieżącym sezonie. Sztuka pokazana była także już na znaczniejszych scenach europejskiego Zachodu. Treścią sztuki jest tragedia uczonego niemieckiego Żyda. Na zdjęciach ta sama postać w wykonaniu różnych aktorów. Od góry: (1) Profesor Mamlock Waltera Francka w berlińskim Hebbel-Theater, dalej w wykonaniu (2) Friedrich Marka w teatrze miejskim w Döbeln, wreszcie w wyk. (3) Curta Asmusa-Bacha w teatrze miejskim we Frankfurcie nad Odrą.

niemieckim, które posiadałyby własne parlamenty, prawo utrzymywania stosunków dyplomatycznych z innymi państwami oraz zawierania z nimi paktów i umów. Zakazane ma być natomiast zawieranie układów i paktów między poszczególnymi państwami niemieckimi lub wzajemne fuzje. Widzimy, że projekt francuski idzie najdalej w rozbiciu Niemiec, zabezpieczając Europę przed wszelkimi ewentualnymi skutkami Niemiec zjednoczonych.

MNIEJSZE państwa zwycięskie także już wielokrotnie określiły swe poglądy na przyszłość Niemiec. Ukraina domaga się stworzenia Niemiec zjednoczonych z rządem centralnym. Podobny punkt widzenia wykazuje Polska, przy czym nad wszystkimi projektami i rozważaniami polskimi na temat przyszłości Niemiec góruje żądanie ostatecznego zatwierdzenia linii granicznej na Odrze i Nysie łużyckiej. Południowa Afryka projektuje państwo związkowe i jest przeciwko większym zmianom terytorialnym, a w pewnym zakresie także i przeciwko obecnej naszej linii granicznej na Zachodzie. Warto zapamiętać. Holandia jest za luźnym państwem związkowym, przy czym umiędzynarodowić pragnie obszar Renu i Ruhry. Australia wreszcie odrzuca w ogóle projekt jakiegokolwiek rządu niemieckiego na kilka następnych lat, uważając, że naród niemiecki nie jest zdolny do rządzenia sobą.

To byłyby najcharakterystyczniejsze poglądy na przyszłość Niemiec. Jak wobec nich zachowują się sami Niemcy? Niemcy wielkim głosem wołają o jedność. Wołanie to wzmogło się szczególnie teraz, kiedy odbywają się drugie powojenne targi lipskie.

TARGI lipskie odbywają się zatem już po raz drugi i stanowią ważny przegląd powojennych możliwości gospodarczych Niemiec. Nic też dziwnego, że cieszą się szczególnym zainteresowaniem zagranicy. Szkoda, że wśród dotychczasowych gości zagranicznych statystyka targów nie wymienia Polaków. Chyba powinniśmy wiedzieć, jakimi drogami i formami odbywa się gospodarcza regeneracja Niemiec. Dość powiedzieć, że w pierwszych zaraz dwóch dniach odwiedziło targi lipskie przeszło 3000 obcokrajowców, w tym w drugim dniu 390 Duńczyków, 200 Holendrów i tyleż Francuzów, 135 Anglików, 100 Szwajcarów, 67 Norwegów, 15 Szwedów, 14 Czechów, 5 Belgów, 3 Hindusów, 2 Amerykanów i 2 Greków oraz po jednym Egipcjaninie, Jugosłowianinie i Austriaku, Amerykanie zapowiadają liczny przyjazd. Polityczne znaczenie targów, jak już wspomniałem, jest niemałe. Rok temu z okazji otwarcia pierwszych targów lipskich pisała „Berliner Zeitung", że są one apelem do świata, by połamał on słupy graniczne, przywrócił Niemcom jedność i umożliwił gospodarczy rozkwit. Dzisiaj ta sama gazeta z okazji drugich targów lipskich pisze podobnie: „Drugie targi lipskie rozpoczynają się równocześnie z otwarciem konferencji moskiewskiej... Są one zatem potężną plastyczną demonstracją tego, czego Niemcy potrzebują do życia. Jeśli opadną z rąk Niemiec więzy, nałożone im przez granice stref okupacyjnych, jeśli odbudowana zostanie polityczna i gospodarcza jedność Niemiec, wtedy szybciej rozkwitnie handel i przemysł..." I wreszcie koniec artykułu: „Z Lipska odzywa się ponowny apel do polityków zagranicy i Niemiec: Stwórzcie jak najszybciej znów jednolite, centralistyczne Niemcy, aby naród nasz i jego przemysł mogły znowu oddychać i żyć!"

WOŁANIE o jedność wyprzedza stanowczo wołanie o Niemcy oczyszczone z jadu hitleryzmu. Kiedy czyta się codziennie prasę niemiecką — a lektura to zaiste niewesoła — człowiek chętnie przyznaje rację Australii, która do żadnych rządów niemieckich nie chce dopuścić. Czy naród, który na każdym kroku manifestuje w sposób nieobliczalny i czupurny swój uczuciowy związek z epoką Hitlera, jest zdolny do rządzenia sobą, w środku Europy, która zło hitlerowskie określiła jako zło naczelne w życiu politycznym Europy? Mnożą się przykłady — a nie wszystkie wyczytamy w prasie niemieckiej — że Niemcy nie przeszły żadnego oczyszczenia, że obce im są rozkosze katharsis, którą przecież przechodził już niejeden chcący żyć uczciwie naród. Np rozpatrzmy taką sprawę antysemityzmu. Antysemityzm w Niemczech trwa, rozwija się, szaleje. W angielskiej strefie oku pacyjnej w styczniu i lutym zbeszczeszczono cztery cmentarze żydowskie, które uszły zniszczeniu z czasów hitlerowskich, zabito dwóch Żydów rzekomo za posiadanie broni, a zabili ich zgoła po esesmańsku, pięścią w oczy, dwaj obecni policjanci niemieccy, którzy po dokonaniu zabójstwa poszli spokojnie na tańcówkę. Zrabowane Żydom majątki dotąd nie zostały zwrócone prawowitym właścicielom lub ich rodzinom. Dotyczy to zwłaszcza sklepów, a przecież Żydów w Niemczech jest garstka i wyjąwszy życie kulturalne, nie odgrywają tam żadnej większej roli. Nic też dziwnego, że na styczniowym Światowym Kongresie Żydowskim zapadło kilka uchwał w obronie żydowstwa niemieckiego. Postanowiono przede wszystkim domagać się międzynarodowej kontroli pozycji i traktowania Żydów w Niemczech, ukarania tych wszystkich, którzy brali udział w prześladowaniach Żydów (aż dziwne, że dotąd tego nie uczyniono, poza wyjątkowymi wypadkami, jak sprawa Streichera), zwrotu majątku i wolności wyjazdu z Niemiec z pełnym posiadanym majątkiem. Tak to Żydzi niemieccy wciąż jeszcze muszą się bronić przed średniowieczną nienawiścią narodu, któremu świat w swej wspaniałomyślności obiecuje jedność i własny rząd. (wisz)

JEAN-PAUL SARTRE

PISARZ i jego epoka

Wszyscy pisarze mieszczańskiego pochodzenia znali pokusę nieodpowiedzialności. Od stulecia jest ta nieodpowiedzialność tradycją w pisarskim zawodzie. Rzadko tylko potrafi pisarz wytworzyć stosunek pomiędzy swymi dziełami a ich materialnym wynagrodzeniem. Z jednej strony pisze, śpiewa, tęskni — pisarz; z drugiej strony daje mu się pieniądze. Te dwa fakty pozostają bez widocznego stosunku do siebie. W najlepszym razie mógłby sobie autor powiedzieć, że mu się wyznacza rentę, ażeby mógł tęsknić. W ten sposób uważa on się raczej za studenta, który żyje z jakiegoś stypendium, aniżeli za człowieka pracy, który otrzymuje zapłatę za swoje trudy. Teoretycy „l'art pour 'art" i realizmu utwierdzili go potem w tym pojęciu. Czyż nie zauważono, że jednym i drugim wspólny jest cel i pochodzenie? Autor, który słucha nauk pierwszych, przeważnie stara się tworzyć dzieła, które do niczego nie służą. Jeżeli dzieła te są nieuwarunkowane i nieuzasadnione, najprawdopodobniej będą mu się wydawały pięknymi. W ten sposób zajmuje on miejsce na marginesie społeczności; albo raczej: zgadza się na występowanie tutaj w charakterze wyraźnego konsumenta, zupełnie tak samo jak stypendysta. Także realista czuje się w swojej roli jako konsument dobrze. Co się tyczy jego twórczości, to już jest inna sprawa. Opowiadano mu, że wiedza nie musi się troszczyć o swój sens i pożytek, a zatem obchodzi go tylko bezpłodny obiektywizm uczonego. Czyż nie wmawiano w nas aż do obrzydzenia, że pochyla on się ponad środowiskiem, które chce opisać. On pochylał się ponad nim! Gdzie się jednak właściwie znajdował? W powietrzu? Prawdą jest, że będąc całkowicie nieświadomy własnej pozycji społecznej, nazbyt bojaźliwy, ażeby przeciwstawić się mieszczańskiej społeczności, która go wytrzymuje, za bystry, ażeby ją bez zastrzeżeń uznać,zdecydował się odbywać sąd nad własnym stuleciem i wmawia w siebie, że pozostaje poza swoim czasem, tak jak eksperymentator poza przebiegiem eksperymentu. Tak styka się obojętna bezstronność czystej wiedzy z brakiem uzasadnienia i celowości „l'art pour l'art". Nie jest bynajmniej dziełem przypadku, że Flaubert jest równocześnie czystym stylistą, szczerym miłośnikiem formy i ojcem naturalizmu; nie jest też dziełem przypadku, że bracia Goncourt swoją dumę widzą w tym, by posiadać jednocześnie dar obserwacji i artystycznej dykcji.

To dziedzictwo nieodpowiedzialności wywołało w wielu umysłach zamieszanie. Posiadają one złe literackie sumienie i właściwie nie wiedzą więcej, czy pisanie jest rzeczą podziwu godną czy dziwną. Kiedyś miał się poeta za proroka, to było zaszczytne. W następstwie został odepchnięty i wyklęty, to jeszcze uchodziło. Ale dzisiaj zeszedł on do roli fachowca i do księgi w hotelu wpisuje nie bez pewnego niezadowolenia obok nazwiska jako zawód: „pisarz". Słowo „Homme de lettres" jako takie niejednemu odebrać może wszelką ochotę do pisania. Przychodzi na myśl Ariel, jakiś strażnik świętego ognia, jakieś „enfant terrible", jeszcze jakiś niewinny głupiec, krewniak duchowy podnoszącego ciężary albo numizmatyka. Wszystko to jest dość śmieszne. Pisarz pisze, podczas gdy inni biją się. Dzisiaj jest dumny z tego, czuje się posłańcem i stróżem idealnych wartości, jutro wstydzi się tej prawdy, że literatura podobna jest mocno do jakiegoś rodzaju określania celu. W kręgu mieszczan, którzy go czytają, jest swojej godności świadomy; w stosunku jednak do robotników, którzy go nie czytają, cierpi na pewien kompleks niższości... Ten kompleks jest z pewnością korzeniem tego, co Paulhan nazywa terroryzmem. Pobudza on surrealistów do tego, ażeby gardzili literaturą, z której żyją.

Po poprzedniej wojnie istniał szczególny rodzaj liryki; najlepsi pisarze, i to ci najprawdziwsi, spowiadali się jawnie z tego, co ich mogło najbardziej upokarzać i byli zadowoleni, jeżeli spotkała ich nagana ze strony mieszczanina; stworzyli oni dzieło literackie, które w jakiś sposób równało się czynowi. Te pojedyńczo podejmowane trudy nie mogły zapobiec rosnącemu z dnia na dzień deprecjonowaniu i wyżłabianiu słowa. Nastąpił najpierw kryzys chwytów językowych, potem samego języka. W wigilię ostatniej wojny większość literatów pogodziła się z tym, że będzie jeszcze tylko odgrywać rolę „słowików". Znaleźli się w końcu tacy autorzy, którzy osiągnęli punkt kulminacyjny w budzeniu niechęci do twórczości. Przewyższyli oni swoich poprzedników, uważając, że w żadnym wypadku nie czynią za wiele, jeżeli wydają po prostu zbyteczną książkę. Uparli się oni przy tym, że ukrytym celem wszelkiej literatury jest rozkład języka i że ażeby ten cel osiągnąć, wystarczy mówić poto, ażeby nic nie powiedzieć. To nie wyczerpujące się milczenie było jakiś czas zgoła modą i „Messageries Hachette". kolportowały w kioskach dworcowych z książkami takie „pastylki milczenia" pod postacią obszernych powieści. Dzisiaj te sprawy dojrzały tak dalece, że można się spotkać z tym, iż pisarze, którzy doczekali się nagany albo kary, ponieważ piórem służyli nazistom, nagle doznają bolesnego rozczarowania: „Dlaczego!?" mówią, „czy może zobowiązywać to, co się pisze?"

Nie chcemy się wstydzić pisania i nie mamy ochoty mówić poto, aby nic nie powiedzieć. Nikt z nas zresztą nie chciałby i nie może tego osięgnąć. Wszelkie słowo pisane posiada sens. Nawet gdy ten sens jest bardzo oddalony od tego, co autor chciał wyrazić. Dla nas nie jest pisarz w swym dziele ani stróżem wiecznego ognia ani Arielem; znajduje on się w środku walki i jest odpowiedzialnym za wszystko, cokolwiek by czynił. Został napiętnowany, obnażony aż do ostatnich zakamarków swej

J. P. Sartre doszedł do sławy jako pisarz już przed wojną. Jego powieść „La Nansée" i jego zbiór nowel „Le Mur", słusznie zwróciły na siebie uwagę krytyki francuskiej. W ostatnich latach stał się Sartre twórcą szkoły, która wyznaje tzw. egzystencjonalizm. W swoim na szeroką skalę zakrojonym dziele filozoficznym „L'Etre et le Nèant", wyraził Sartre wiele głębokich myśli. W niejednym przypominają one poprzedników Sartre'a: Husserla, Heideggera, Kierkegaarda, Freuda i Adlera. Może być, że egzystencjonalizm jako modny prąd filozoficzny przeminie i zostanie zastąpiony innym prądem, nie przeminie jednak bez śladu. Niniejszy artykuł ukazał się w pierwszym numerze czasopisma „Les Temps Modernes".

duszy. Jeeżli w pewnych okresach sztuki swej używał do klecenia krotochwil, harmonijnych co prawda, ale pustych i marnych, już to samo jest znamienne; jest uwarunkowane, bądź to kryzysem w literaturze i bez wątpienia kryzysem społecznym, bądź też tym, że panująca warstwa społeczna odsunęła pisarza w sposób, w jaki on sobie sam nie zdawał z tego sprawy, w obawie, że mógłby zasilić szeregi rewolucyjne. Flaubert, który tak bardzo srożył się na mieszczan i któremu się zdawało, że usunął się z zasięgu trybów maszyny społecznej, czymże był dla nas, jak nie utalentowanym kapitalistą. Czy jego filigranowa sztuka nie wymaga zgóry wygód Croisseta, czułej troskliwości matki i siostrzenicy, uporządkowanego gospodarstwa, dochodowego przedsiębiorstwa i regularnego wpływu dywidend? Potrzeba tylko krótkiego okresu czasu, ażeby książka była faktem społecznym, o który pytamy jak o jakiekolwiek urządzenie społeczne albo które wprowadzamy do statystyki jak jaką rzecz. Już po upływie krótkiego czasu będzie ona wraz ze stylem mebli, odzieżą, kapeluszami, środkami lokomocji i trybem życia epoki stanowiła jedno. Historyk powie: „Jedli to, czytali to, ubierali się tak a tak". Pierwsze koleje żelazne, cholera, bunt lyońskich tkaczy jedwabiu, powieści Balzaca, rozwój przemysłu, wszystko to wnosi w równym stopniu do trafnej charakterystyki monarchii lipcowej. Wszystko to stwierdzano i powtarzano od czasów Hegla zawsze i ciągle. Spróbujmy wyciągnąć stąd wnioski praktyczne. Ponieważ pisarz nie ma możliwości pozostawania poza czasem, chcemy, ażeby poświęcił się całkowicie i wyłącznie swojemu stuleciu. Ono jest dla niego jedyną możliwością, jest dla niego stworzone, tak jak on jest stworzony dla swego stulecia. Jakże pożałowania godną jest obojętność Balzaca wobec zdarzeń 48 roku, bojaźliwy brak zrozumienia Flauberta wobec komuny. Żałuje się tych pisarzy z ich przyczyny, albowiem zaniedbali oni tutaj czegoś na zawsze. My nie chcemy nic uronić ze stawania się naszego czasu; może istnieją piękniejsze czasy, ale ten jest nasz. Mamy tylko to jedno życie przed sobą w wirze tej wojny, w możliwym wypadku tej rewolucji. Ażeby tylko nie wnosić stąd, że głosimy jakąś odmianę „populizmu". Jest to coś wręcz przeciwnego. „Populizm" jest przedwczorajszy, jest smutną latoroślą ostatnich realistów; jest jeszcze jedną próbą wymigania się. My naodwrót, jesteśmy tego zdania, że wymigać się nie można. Gdybyśmy nawet sami byli niemi i milczący jak kamienie, już sama nasza bierność byłaby czynem. Kto by życie swoje poświęcił jedynej czynności pisania powieści o Hetytach, już przez sam akt rezygnacji podkreśliłby swoje stanowisko. Pisarz jest uwięziony w swoim czasie, każde jego słowo ma swój oddźwięk, jego milczenie w równym stopniu. Flaubert i bracia Goncourt są w moich oczach odpowiedzialni za ucisk, który towarzyszył komunie, ponieważ nie napisali ani jednego wiersza, ażeby zapobiec nieszczęściu. Powie ktoś, że to nie leżało w ich kompetencjach. Ale czy proces Calas'a był sprawą Voltaira, czy skazanie Dreyfusa było sprawą Zoli? Czy zarząd Konga był sprawą Gid'a? Każdy z tych autorów w szczególnych okolicznościach pojął własną odpowiedzialność w życiu swym jako pisarz. Okupacja niemiecka nauczyła nas, jaką ma być nasza. Ponieważ poprzez własne istnienie wpływamy poprostu sami na swój czas, decydujemy się na to, ażeby ten czyn był wynikiem woli. Trzeba jeszcze jeden szczegół ustalić. Nie jest bynajmniej rzadkością, że pisarz we własnym skromnym zakresie troszczy się o przygotowanie przyszłości. Ale istnieje tylko niepewna i pojęciowa przyszłość, która obchodzi całą ludzkość, o której jednak nie posiadamy żadnego wyjaśnienia. Czy historia będzie miała jaki koniec? Jak będzie wyglądać społeczeństwo w ustroju socjalistycznym za 3.000 lat? Takie mrzonki pozostawmy chętnie autorom utopijnych powieści! Przyszłość wyłącznie naszej epoki niech będzie przedmiotem naszych starań, ta przyszłość najbliższa, która zaledwie odcina się od teraźniejszości. Albowiem epoka, tak samo jak człowiek, jest przede wszystkim przyszłością. Człowiek składa się ze swych bieżących prac, ze swych przedsięwzięć, ze swych projektów na bliższą lub dalszą metę, ze swych buntów, swych walk, swych nadziei: Kiedy skończy się wojna? W jaki sposób uzbroi się kraj? Jak ułożą się stosunki międzynarodowe? Jakie będą formy ustroju społecznego? Czy siły reakcji zwyciężą? Czy będzie rewolucja i jakiego ona będzie rodzaju? Tę przyszłość uczynimy naszą własnością i nie chcemy mieć żadnej innej. Nie ulega wątpliwości, że niektórzy pisarze mają mniej aktualnych trosk i mniej tych ograniczonych widoków na przyszłość. Kroczą wśród nas jako zupełnie nieobecni. Gdzie znajdują się oni właściwie? W towarzystwie własnego potomstwa zwracają swe spojrzenia w przeszłość, ażeby osądzić minioną erę, która należała do nas i której jedynymi przeżytkami są oni. Łudzą się jednak. Sława pośmiertna opiera się zawsze na nieporozumieniu. Co wiedzą oni o tych potomkach, których kiedyś z naszego kręgu wyłowią. Nieśmiertelność jest okropnym alibi. Nie jest łatwo być jedną stopą po tej, a drugą po tamtej stronie grobu. Jak załatwić bieżące sprawy, jeżeli się na nie patrzy z takiej odległości! jak zapalić się do walki i jak wykorzystać zwycięstwo! Wszystko jest jednoznaczne. Oni patrzą na nas, a nie widzą. Jesteśmy w ich oczach już umarłymi — a oni wracają do swojej powieści, którą piszą dla ludzi, których nigdy nie będą widzieć. Oni pozwolili, ażeby nieśmiertelność ukradła im własne życie. Piszemy dla współczesnych i nie chcemy patrzeć na świat oczyma przyszłości, gdyż byłoby to najpewniejszym środkiem do zabicia jej, ale naszymi cielesnymi oczyma, naszym prawdziwym, przemijającym wzrokiem. Życzymy sobie wygrać nasz proces nie w instancji odwoławczej i nie potrzebujemy żadnej pośmiertnej rehabilitacji. Tu właśnie i za naszych czasów będą te procesy wygrywane albo przegrywane.

Pomimo to nie mamy zamiaru wprowadzać jakiegoś literackiego relatywizmu. Mało też mamy upodobania w czystej historii. Czy w ogóle istnieje czysta historia gdziekolwiek indziej jak w podręcznikach M. Seignobo'a?! Każda epoka odkrywa nowy punkt widzenia w odniesieniu do form życia społecznego, w każdej epoce nabiera człowiek nowych nastawień wobec swego bliźniego, miłości, śmierci i świata. I jeżeli partie zwalczają się w sprawie rozbrojenia francuskich sił wojskowych frontu wewnętrznego albo w związku z udzieleniem pomocy hiszpańskim republikanom, wtedy idzie o to metafizyczne nastawienie, o ten jednorazowy i absolutny wybór. Skoro my w tym pojedyńczym wypadku naszej epoki stajemy po czyjejś stronie, natrafiamy ostatecznie znowu na to co wieczne, — i to jest nasze zadanie jako pisarzy, ażebyśmy odkrywali te wieczne wartości, które są wewnętrzną treścią tych społecznych i politycznych walk. Ale my nie staramy się ściągnąć ich z nieprawdziwego nieba: interesują nas one tylko w swych teraźniejszych, czasowych objawach. Dalecy od relatywizmu zapewniamy głośno i wyraźnie, że człowiek jest istotą niezależną. Ale jest on nią w swoim czasie, w swoim otoczeniu, na swojej ziemi. Co jest nieuwarunkowane, co tysiąc lat historii nie może zburzyć, to ta niezastąpiona, nieporównana decyzja, którą on właśnie w danym momencie, przez wzgląd na takie a nie inne okoliczności poweźmie. Taką istotą niezależną jest Deęcartes, człowiek, który nam się wymyka, bo już nie żyje, który żył w swoim czasie, który ten swój czas przetrawił w myślach, dzień po dniu posługując się w myśleniu tymi środkami, jakie mu stały do dyspozycji, który swą naukę od pewnego określonego, dotąd osiągniętego stanu wiedzy rozbudował, który znał Gassendiego, Caterusa, Marsenne'a, który w swym dzieciństwie kochał zezowatę dziewczynkę, który był na wojnie i zapłodnił pewną dziewkę, który zaatakował nie zasadę autorytetu w ogólności, ale całkiem dokładnie i pewnie autorytet Arystotelesa, który stoi prosto w swoim czasie, rozbrojony, ale nie zwyciężony, jak kamień graniczny; co jest względne, to kartezjanizm, ta tam i z powrotem popychana filozofia, którą od stulecia do stulecia prowadzi się jakby na spacer i w której każdy znajduje to, co sam w nią wkłada. Nie przez to, że uganiamy się za nieśmiertelnością, będziemy wieczni; my nie będziemy istotami niezależnymi, ponieważ w naszych dziełach odzwierciedliliśmy pewne przeżyte zasady, zbyt puste i błahe, ażeby mogły z jednego stulecia dotrzeć do drugiego, ale z tego powodu, że w swoim czasie namiętnie walczyliśmy, że ten czas namiętnie kochaliśmy i byliśmy gotowi pójść razem z nim na dno.

Reasumując: Naszym zamiarem jest wnosić własny wkład w przemiany społeczne środowiska, które nas otacza. Nie rozumiemy przez to przeobrażenia dusz. Kierowanie duszami pozostawiamy chętnie autorom, którzy na tym polu mają swych protegowanych. My, którzy nie będąc materialistami nigdy nie czyniliśmy rozgraniczenia pomiędzy duszą i ciałem i którzy znamy tylko niezastąpioną rzeczywistość, ludzką rzeczywistość, przyłączamy się do tych, którzy równocześnie chcą zmienić społeczne położenie człowieka i mniemanie, jakie on sam o sobie posiada. Zajmiemy też stanowisko w odniesieniu do nadchodzących politycznych i społecznych wydarzeń. Nie podkreślimy tego czynem politycznym w rozumieniu przyjętym ogólnie tj. że nie będziemy służyć żadnej partii. Ale będziemy się starali rozwijać twórczą postawę człowieka, która zasila niniejsze, dyskutowane momenty i będziemy nasze sądy stosownie do światopoglądu, jaki reprezentujemy wypowiadać. Jeżeli potrafimy dotrzymać tego, co sobie obiecujemy, jeżeli osiągniemy, że niektórzy z naszych czytelników zaczną dzielić z nami swe poglądy, będziemy mieli dosyć powodów do dumy; będziemy mogli sobie jedynie powinszować, żeśmy odzyskali uczciwe i dobre sumienie zawodowe i tego, że w związku z tym literatura stała się tym, czym przynajmniej według naszego mniemania nigdy nie powinna była przestać być: funkcją społeczną.

Spolszczył **A. W.**

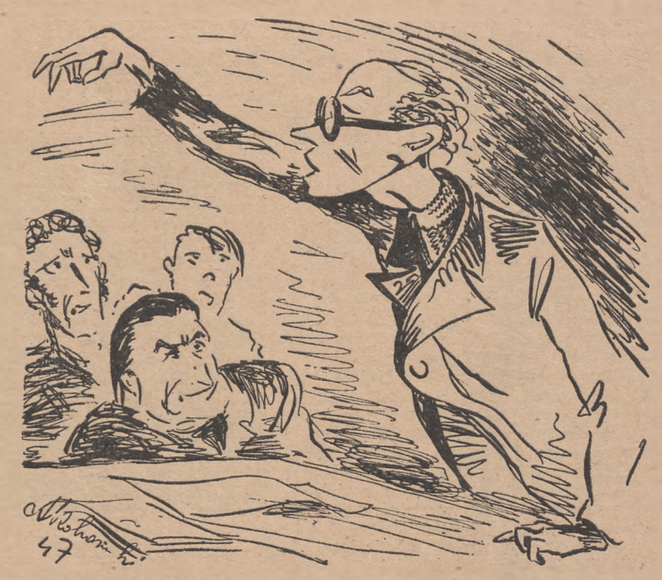

„Bracia! Naszym świętym obowiązkiem jest..."

JULIUSZ KYDRYŃSKI

Sprawa

Stanąwszy przed drzwiami Bim poomacku szybko odnalazł dzwonek i nacisnął trzy razy. Po chwili w otwartych drzwiach stanął szczupły młodzieniec. Poza nim, przez nie dużą szparę wpadała do pokoju nikła smuga światła. W powietrzu unosił się zapach kiepskiego tytoniu.

— Wejdźcie — nieznajomy zapraszał do wnętrza.

Bim wszedł pierwszy, pociągając za sobą Fella. Drzwi szybko zamknięto.

— Stefanie, przedstawiam ci swego młodego przyjaciela — powiedział Bim, witając się z Jastrzębiem.

— Fell.

— Miło mi poznać — mówił Jastrząb, ściskając prawicę Jacka — to wy prowadziliście „cyrk poetów", prawda? — zapytał z szacunkiem.

A gdy otrzymał potwierdzającą odpowiedź, zawołał:

— A więc pozwólcie, jesteście nam bliscy!

Co rzekłszy, wprowadził obydwu przybyłych do niewielkiego pokoju, w którym — przy świetle kopcącej lampy naftowej — siedziało kilku mężczyzn. Bim witał się z wszystkimi jak z dobrymi znajomymi; Jacek, przedstawiony przez Jastrzębia, kolejno ściskał dłonie zebranych.

Było ich czterech, Jastrząb piąty. Chociaż najmłodszy cieszył się w tym gronie dużym szacunkiem i przewodniczył zebraniom. Widać było, że jest duszą zgromadzenia. Jacek przyglądał mu się ciekawie. Jastrząb był niskim, niepozornym, napół wyłysiałym blondynem. Nosił grube okulary w czarnej, rogowej oprawie. Ubrany w granatowy, mocno już zniszczony garnitur, mimo, że było lato, nosił gruby, popielaty sweter, spięty pod szyją éclairowskim zamkiem. Teraz małą szczupłą dłonią wskazał Jackowi miejsce za stołem.

Z kolei spojrzenie Fella spoczęło na pozostałych uczestnikach zebrania. Przypomniał sobie, że gdy wszedł tutaj, nikt nie okazał najmniejszego zdziwienia — widocznie byli uprzedzeni o jego przybyciu. Teraz — obserwując ich — ze zdumieniem spostrzegł, że dwóch z grona znał już poprzednio. Jednym był Wendelli Kapiec, zegarmistrz, znany oryginał, mający sklep w rynku miasta nad Rzeką Ryb Leniwych. Nie stary jeszcze, nosił długie, czarne włosy, zawsze wysmarowane jakimś tłuszczem, lśniące i gładko zaczesane do tyłu. Przycinał je równo na karku. Twarz miał szeroką, nalaną, w szyderczym uśmiechu odsłaniał zepsute, poczerniałe zęby, gdzieniegdzie połyskiwało w nich złoto. Małe oczka biegały niespokojnie. W lewym uchu nosił duży, okrągły, srebrny kolczyk.

Drugim spiskowcem, z którym Jacek już kiedyś się zetknął (nie mógł sobie jeszcze przypomnieć gdzie i w jakich okolicznościach) był szczupły, wątły młodzieniec, nazwiskiem Leszek Kamyk. Nosił, podobnie, jak zegarmistrz, długie włosy, kasztanowate i puszyste. Okalały one przedwcześnie postarzałą, o melancholijnym wyrazie twarz, pokrytą niezdrową bladością. Teraz Fell przypomniał sobie, kim był ów młodzieniec. Przedstawił mu go kiedyś Lohengrin Bicykl jako swego przyjaciela, znakomicie zapowiadającego się poetę. Jacek pamiętał, że chodziło wówczas o wieczory autorskie w cyrku, w których — koniec końców — Kamyk nie wziął udziału, gdyż wierszy jego nie zatwierdziła cenzura.

Pozostali dwaj towarzysze Jastrzębia nie wyróżniali się niczym. Jeden był starszym już mężczyzną o niewiele mówiącej twarzy, drugi, nieco młodszy, zdawał się mimo to być znużonym, przeżytym człowiekiem. Jak później powiedziano Fellowi, starszy był emerytowanym pułkownikiem armii państwa Rzeki Leniwej, młodszy zaś w rodzinnym mieście Jacka piastował mało reprezentacyjny, lecz niemniej pożyteczny urząd dozorcy miejskich wychodków.

— Otóż, przyjaciele — mówił w tej chwili Stefan Jastrząb — witamy dzisiaj w swym gronie nowego kolegę, który — bliski nam od dawna duchem, — teraz dopiero zjawia się tutaj jako uczestnik naszych prac. Tym kolegą jest znany nam dobrze Jacek Fell, twórca cyrku, który miał być trybuną, miał być zwierciadłem, odbijającym wiernie naszą karykaturalną rzeczywistość, a nie mógł spełnić swego zadania z powodu wrogiego stanowiska czynników oficjalnych. Przyjaciele! Wiadomo, że stary, rozkładający się, a jednak potężny jeszcze system społeczny niszczy wszystko, co wartościowe, piękne i dobre, bojąc się, iżby te nowe wartości nie powstały przeciw niemu, nie obaliły go, a tym samym nie pozbawiły dobrobytu ludzi, którzy posiedli władzę. Bracia! Naszym świętym obowiązkiem jest walka z samowolą nieodpowiedzialnych jednostek, walka z bezrządem, głupotą i chamstwem!

— Wieczne głupstwo — stwierdził zegarmistrz Wendelli Kapiec z sarkastycznym uśmiechem.

— Legenda wiecznego głupstwa pozostanie legendą. I głupstwo umiera! — z zapałem wołał Jastrząb.

Zebrani słuchali w skupieniu, potakując od czasu do czasu ruchem głowy, wyrazem oczu, skrzywieniem ust. Jacek czekał, co nastąpi.

— Panowie bracia! — ciągnął Jastrząb. — Jesteśmy pierwszą komórką wielkiej całości, wielkiego, zorganizowanego ruchu, który wkrótce ogarnie całe państwo. Niezadowolenie jest powszechne. Pod — zdawać by się mogło — cichą i spokojną powierzchnią — wre wulkan! A miara czasu wypełnia się. Panowie, zastanówcie się nad tym, czy zamknięcie cyrku Fella nie było ową przysłowiową kroplą, która wylała się poza brzeg pucharu!?

Poeta Kamyk pociągnął nosem, zegarmistrz przygładził włosy, po czym otarł z tłuszczu dłoń kraciastą chustką do nosa. Natomiast emerytowany pułkownik, nazwiskiem Wiktor Czeczuga, rzekł:

— Zgoda. Ostatnie wasze słowa rozumiem, jako wezwanie do śpiesznego działania. Powtarzam: zgoda! I ja zostałem głęboko pokrzywdzony przez obecną klasę rządzącą, albowiem — pomijając wszystko inne — na skutek karygodnych machlojek, wydatnie obcięto mi emeryturę. Przeto nic nie mam przeciwko wystąpieniu z bronią w ręku. Zależy mi nawet na pośpiechu. Ale zapytuję, jeżeli my jesteśmy pierwszą komórką spisku, a jest nas tutaj razem siedmiu, to jednak musimy liczyć się z tym, że większość powstanie przeciw nam.

— Na szczęście nie jest tak źle — pośpieszył Jastrząb z odpowiedzią. — Mówiąc „pierwsza komórka" miałem na myśli fakt, że istotnie, kiedy zebraliśmy się po raz pierwszy, byliśmy odosobnieni. Teraz jednak — nie wiecie o tym, koledzy — (gdyż chodzi i o wasze bezpieczeństwo) — teraz dysponujemy masą ludzką, zrzeszoną w setkach komórek, podobnych naszej. Wystarczy dać hasło! Wystarczy — w ostatnim etapie pracy konspiracyjnej — nawiązać otwartą łączność pomiędzy poszczególnymi komórkami, wezwać na wspólny apel przywódców grup, aby wystąpić silnie, zwartą masą!

Stłumione (ze względu na akustykę miejsca) oklaski były odpowiedzią. Z kolei Jacek poprosił o głos.

— Cieszę się, przyjaciele, że dane mi jest znaleźć się wśród was. Na Jowisza, takich ludzi szukałem oddawna! Żyłem w niepokoju, albowiem w myślach czułem się osamotniony. A teraz przekonywam się, że mówicie słowa, które ja już dawno ważyłem w sobie, że myślicie o walce, którą uwielbiam!

Ściskano mu serdecznie dłonie, a Bim spoglądał nań z dumą.

— A teraz, kiedy oświadczyliście się za nami, kolego, — pozwólcie, żeby formalności stało się zadość — mówił Jastrząb. — Muszę odebrać od was uroczyste przyrzeczenie. Czy przytomnie i z nieprzymuszonej woli przyrzekacie nam swoją współpracę?

— Przyrzekam.

— Wobec tego chodźmy na wódkę, trzeba to oblać! — rubasznie zawołał zegarmistrz, unosząc się z krzesła. Przed wyjściem Jatrząb starannie przykręcił knot lampy.

Wychodzili po dwóch, nie chcąc zwracać niczyjej uwagi. Pułkownik ujął pod ramię dozorcę wychodków, poeta zegarmistrza. Bim. Jacek i Jastrząb wyszli ostatni.

— Widzicie — zwierzał się Jastrząb Jackowi — weszliście do naszego grona, jako facet niezwykły. Znamy waszą dotychczasową działalność, wiemy, jaki niepokój pokrywaliście maską cyrkowca. Dlatego, znając wasz wpływ na ludzi, nie chcemy wami przewodzić, was raczej prosimy o kierownictwo pewnych odłamów naszego związku. Nazywamy go „Związkiem czarnego sztandaru", sztandaru, zwiastującego śmierć dawnego świata. Śmierć nadużywanej władzy!

Jacek patrzył w noc i milczał. Dopiero, gdy Bim zagadnął:

— Cóż ty na to?

Odpowiedział:

— Zgadzam się objąć kierownictwo grup, które mi wyznaczycie.

— Doskonale — ucieszył się Jastrząb — i zanim weszli do lokalu „Pod Bachusem", gdzie wyborowy podawano alkohol, dodał tajemniczo:

— Nie możemy się zbierać stale w jednym miejscu. To mogło by wywołać podejrzenia, a wiadomo, że policję mamy nienajgorszą. Wobec tego następnym razem spotkamy się gdzieindziej. W prosektorium, gdzie codziennie pracuję, za salą ćwiczeń, znajduje się niewielki, wygodny gabinet. Przyjdźcie tam, woźni to nasi ludzie. Zapytajcie tylko o mnie.

Po czym weszli do knajpy.

Noc była błękitna, nabijana złotem, gdy Jacek, siedząc w swym domu na parapecie okna, opowiadał Armadzie o przeżyciach ostatnich godzin. Stary marynarz słuchał z dużym zainteresowaniem, od czasu do czasu z sykiem wciągając powietrze do zepsutego zęba.

— Widzisz, Armado — mówił Fell — nareszcie zaczyna się dziać coś na wielką skalę. Osobiście, dostrzegam w tej sytuacji możliwość wysunięcia się na czoło, otwiera się przede mną droga trudna niewątpliwie, ale prowadząca — jak mniemam — do wielkości. Przykro mi tylko, że rzecz cała wypływa wyłącznie z inicjatywy Jastrzębia, nie mojej — ale tu przecież nie chodzi o to, kto zacznie, tylko kto rzecz rozpoczętą podejmie i rozwinie. Armado, czuję głęboko, że stworzony jestem na wodza. Rewolucja pachnie krwią, a kogóż zapach krwi nie podnieca? Zresztą sam przekonałeś się, że człowiek, chcący pozostać człowiekiem, człowiek, pragnący być godnym tego miana, nie może egzystować w obecnych warunkach, przy obecnym układzie prądów i systemów. Będziemy walczyć!

— Jestem stary — odpowiadał Armada — ale licz na mnie. Swym jednym okiem wiele jeszcze potrafię zobaczyć.

Przeto idąc na następne zebranie, Jacek zabrał Armadę ze sobą. Bim miał już czekać na miejscu.

W wąskiej, brudnej ulicy, Jacek zatrzymał się przed niepozornym, nieco w głębi zbudowanym domem, na którego bramą wyblakłe już litery składały napis: „T h e a t r u m a n a t o m i c u m".

— To tu — rzekł do przyjaciela, naciskając guzik dzwonka.

Otworzył im drzwi nieznajomy, niski, zasuszony człowieczek, którego Jacek pozdrowił, wysuwając język i prawą dłonią chwytając się za gardło. Ten szubieniczny gest był symbolicznym znakiem spiskowców i miał oznaczać, że wszyscy wrogowie przyszłej rewolucji nieuchronnie zawisną na stryczku. Woźny nie miał już zatem wątpliwości co do ich osób i — oddawszy pozdrowienie — gestem nakazał im iść za sobą.

Za najbliższymi drzwiami znajdowała się główna sala prosektorium, w której odbywały się ćwiczenia i lekcje. Gdy Jacek stanął na progu, zobaczył obszerne, raczej długie niż szerokie wnętrze, jakby ogromny hall, tonący już w mroku nadchodzącego wieczoru i słabo rozjasniony niesamowitym, zielonawym światłem latarń gazowych, które dochodziło tu z ulicy.

Woźny nie zapalał lamp, których szerokie, blaszane reflektory wisiały u sufitu, więc Jacek z trudnością rozpoznawał kształty znajdujących się tutaj przedmiotów. Pod ścianami, symetrycznie po obu stronach sali, ustawione były drewniane stoły, obite cynkową blachą. Fell doznawał dziwnych uczuć, obserwując poukładane na nich zwłoki, wydzielające mdłą, trupią woń. Tuż przed oczyma miał ich sine, napuchnięte stopy, zwrócone ku środkowi sali. Do ścian zwrócone były wszystkie głowy, gładko ogolone czaszki, powleczone skurczoną, przeźroczystą skórą. Wzrok Jacka, przypadkiem spocząwszy na jednej z wykrzywionych śmiertelnie twarzy, dojrzał w szeroko otwartych ustach skręcony, poczerniały język.

— Brrr — wzdrygnął się Armada i chciał splunąć, ale rozmyślił się i z wysiłkiem przełknął nagromadzoną ślinę. Jacek szybko spojrzał w bok, gdzie za uchylonymi drzwiami dojrzał blaszaną wannę. Rzucił woźnemu pytające spojrzenie.

— Tutaj przygotowujemy preparaty — objaśniał tamten. — W wannach, napełnionych formaliną, moczą się zwłoki...

Jacek w milczeniu szedł za przewodnikiem. Przeszli jeszcze jeden pokój, idąc w bok z głównej sali, wreszcie cicerone zniknął, pozostawiając przybyszów przed drzwiami, spoza których dochodziły pomieszane głosy. Jacek pociągnął za sobą Armadę.

Znaleźli się znowu w znajomym gronie. Fell przedstawił przyjaciela, którego „jastrzębie" (jak od nazwiska wodza nazwali się spiskowcy) przyjęli z sercem na dłoni. Otwarto dyskusję, w której po omówieniu kwestii czysto ideowych, głos zabrał emerytowany pułkownik Wiktor Czeczuga.

— Panowie! — mówił — jak wnioskuję z tego, co powiedziano tu przedtem, jesteśmy już dość silni, by wystąpić otwarcie do walki. A akcja zbrojna stała się naglącą koniecznością, albowiem znowu obcięto mi emeryturę! Panowie nie posądzajcie mnie o prywatę, ale jeżeli umrę, nie mogąc wyżyć z groszy, które państwo mi rzuca jak jałmużnę, stracicie we mnie fachowca, znawcę spraw militarnych! Któż bowiem poprowadzi was do boju, jeśli nie ja, który w swoim czasie byłem pułkownikiem?! A jeśli i inni stowarzyszeni poumierają z głodu, co wtedy? Dlatego wołam: Chwila nadeszła! Dalsza zwłoka może tylko zaszkodzić naszej słusznej sprawie! Panowie bracia, do broni!

Przemówienie pułkownika, nacechowane dużą stanowczością i pewnością siebie, wywarło niemałe wrażenie. Zewsząd odzywały się okrzyki uznania i aprobaty. Jackowi błyszczały chorobliwie rozszerzone źrenice. Armada kopał się w kostkę pod stołem i wykręcał palce, aż trzeszczały stawy. Jedynie powściągliwy tym razem Jastrząb odradzał zbytni pośpiech, lecz poeta Kamyk przerwał mu w pół słowa:

Życie Polaków w Niemczech

— Polski Ośrodek Klutury Artystycznej (POKA) w Hanowerze urządził szereg wystaw artystycznych. Polacy brali udział w 2 wystawach wespół z artystami niemieckimi, poza tym urządzili 3 wystawy samodzielnie: w Hanowerze, w Bramsche i w Brunświku. Ten ostatni pokaz zgromadził 154 prace 17-tu artystów-malarzy: J. Abramowicza, J. Jankowskiej-Małkowskiej, A. Kaszurewicza, B. Korewskiego, M. Lurczyńskiego, B. Nowickiego i in.

— Stara polska emigracja zarobkowa w Niemczech, zdziesiątkowana przez hitlerowski terror i wojnę, zbiera się powoli i usiłuje zewrzeć swe szeregi. Jedno za drugim — reaktywują się stowarzyszenia i związki, koła śpiewacze wznawiają swą pożyteczną działalność, Zw. Polaków w Niemczech przejawia coraz większą żywotność. Tow. Górników Polskich pod wezwaniem św. Barbary, obchodziło 60-lecie swego istnienia. Założone w 1886 r. w Bottropp (Westfalia) przez Rafała Kolosza, początkowo liczyło 40 członków, przed wybuchem wojny skupiało w swych szeregach ponad 700 górników, a obecnie liczy ok. 500 członków. Tow. Górników ma charakter kościelno-świecki. Celem jego jest kultywowanie tradycyj narodowych, organizowanie dyskusyj, odczytów, pielgrzymek, kółek samokształceniowych. Towarzystwu przewodniczy do dnia dzisiejszego jego założyciel, 86-letni Rafał Kolosz.

— Pracownicy naukowi narodowości polskiej wyższych zakładów naukowych w Niemczech utworzyli w Monachium Koło Profesorów i Asystentów Polaków. Na czele zarządu Koła stoi prof. inż. Łaszewski.

— Najżywiej działającym teatrem polskim na terenie Niemiec jest Teatr Polski im. Fredry w Coburgu, czasowo mający swą siedzibę w Regensburgu. 15 lutego br. dał on 125-te przedstawienie czasu swego istnienia. Przedstawienia te oglądały 87.542 osoby w Ansbacha, Ingolstadt, Augsburg, Hohenpels, Norymberdze, Monachium, Straubing, Weiden, Flossenbürg, Bamberg, Coburg, Regensburg, Mainlens i Amberg. Teatr pracuje bez jakichkolwiek dotacji pod kierownictwem p. Zb. Bigota. W repertuarze swym ma m. in. Fredry „Godzien litości" i „Nowy Don Kichot", wg Kossak-Szczuckiej „Wesele Krakowskie", Żeromskiego „Sułkowski", Ibsena „Upiory".

— Syndykat Dziennikarzy Polskich w b. Rzeszy ogłosił konkurs na wspomnienie o prasie podziemnej.

— Prezesem Syndykatu Dziennikarzy Polskich w b. Rzeszy jest Klaudiusz Hrabyk. Syndykat obejmuje 54 członków i 38 aplikantów, z czego 9 procent wyjechało do kraju, 12 procent na zachód Europy lub do St. Zjedn. a 6 procent wystąpiło lub zostało skreślonych. II Walny Zjazd Syndykatu, który odbył się w lutym br., witali dłuższymi przemówieniami m. in. red. Wosk

Ilustrował **J. Rohoziński.**

Jastrzębia

— To prawda! — krzyczał — to prawda! — Nie sposób czekać już dłużej! Nie wiem, czy na dalszą metę potrafię żyć samymi papierosami! Oprócz tego Marianna, z którą miałem dziecko, domaga się pieniędzy! Przyjaciele, to się musi zmienić! Hańba temu, co było! Niech żyje wiek nowy!

Jastrząb wiedział, że nie potrafi już ostudzić ich zapału. Toteż starał się tylko uspokoić dyskusję i przystąpić do rzeczowego ułożenia planu działania.

— Wobec tego — zaczął — nie pozostaje mi nic innego, jak podjąć waszą decyzję. Żeby jednak zorientować was bliżej w naszych możliwościach, zaznajomię was z pozostałymi członkami czołówki organizacyjnej. Nie będę mówił o masach, które dzięki umiejętnie od dawna prowadzonej agitacji, są nam powolne. Wymienię wam tylko niektórych kolegów, z którymi w chwili otwartego wystąpienia zetkniecie się wszyscy. Otóż przede wszystkim posiadamy dziennik, gotowy w chwili stosownej rozpętać zasadniczą propagandę rewolucyjną. Jest to pismo „Integralista", redagowane przez znanego szeroko poetę Lohengrina Bicykla.

(Kamyk wiedział od dawna o udziale Bicykla w spisku, dla Jacka jednak wiadomość ta była nowością. Znał Bicykla jako człowieka o poglądach par excellence rewolucyjnych, nie spodziewał się jednak, że Lohengrin już odpowiednio się zorganizował.)

— Dalej — ciągnął Jastrząb — Euzebiusz Rulon, profesor tutejszego uniwersytetu od dłuższego już czasu wpływa na młodzież szkolną, zwłaszcza uczniów najwyższych klas gimnazjalnych, znajdując wśród nich podatny grunt do zasiania rewolucyjnego ziarna. Ci dwaj, Bicykl i Rulon, poeta i profesor, to najwybitniejsi działacze naszej czołówki. Z innymi zetkniecie się stopniowo, już w czasie akcji. Z nimi dwoma musimy od razu wejść w ściślejszy kontakt. Przede wszystkim prasa. Ona przygotuje grunt, ona stworzy ludzi, którzy z entuzjazmem pochwycą czarne sztandary, przez nas włożone w ich ręce. „Integralista" jest pismem popularnym, które posiadało zawsze duży rozgłos. Teraz gazetę tę weźmie do ręki każdy!

(Jacek słuchał uważnie.)

— Powtóre: Młodzież, urobiona przez Euzebiusza Rulona, oddanego idei bojownika, będzie fundamentem naszych poczynań. Młodzież z natury radykalna, pragnąca jakiejkolwiek zmiany, uwielbiająca walkę. Z tymi ludźmi zwyciężymy!

I zakończył podobnie, jak przedtem Czeczuga:

— Panowie bracia, do broni!

Zapanował ogólny entuzjazm. Dozorca miejskich wychodków zaledwie mógł usiedzieć na kiwającym się krześle. Zegarmistrz co chwila przygładzał włosy i dotykał srebrnego kolczyka, choć nie przestawał uśmiechać się szyderczo. Bim zachowywał się najpoważniej, choć widać było, że i na nim słowa Jastrzębia wywarły potężne wrażenie.

Jacek powstał.

— Gdy rzeczy tak stoją — powiedział — jestem zdecydowany. Uważam, że w tym zespole, w jakim tu jesteśmy, nie mamy potrzeby spotykać się więcej. Każdy zacznie teraz pracę na swym własnym odcinku. Dopiero na ostateczne hasło złączymy nasze siły. Co do mnie, żądam obecnie oddziału bojowców, rekrutujących się z kół młodzieży, pozostającej pod wpływem Euzebiusza Rulona. Żądam dla nich rewolwerów i granatów ręcznych. Kilka kastetów również nie zawadzi. Tę grupę chciałbym od razu przejąć pod swoją komendę i rozpocząć z nią wspólną pracę. Równocześnie należało by podjąć kampanię w „Integraliście". Tyle co do mnie i moich żądań. Reszta należy do was. Oczekuję hasła.

Silne, stanowcze słowa młodego Fella przemówiły do wszystkich. Jacek imponował wolą czynu, tudzież brakiem jakichkolwiek skrupułów. Ustalono, że swoich bojowców otrzyma za tydzień, przy czym jako chwile a s i l u m wyznaczono mu opuszczony barak za miastem, na przeciwnym brzegu Rzeki Ryb Leniwych. Otrzymawszy to przyrzeczenie, Jacek opuścił zebranie.

Od tego dnia w piśmie Lohengrina poczęły ukazywać się znamienne artykuły. „Integralista" wciągnął w orbitę swoich zainteresowań problemy społeczne i polityczne. Większość artykułów, podpisywanych inicjałami „L. K." wychodziła spod pióra poety Leszka Kamyka. Wypowiedzi te utrzymane były w formie agresywnej, poeta wysuwał pod adresem rządu państwa Rzeki Leniwej postulaty, mające na celu rozszerzenie swobód obywatelskich, a dalej — (Leszek Kamyk radykalnie i konsekwentnie prowadził myśl swoją) — uprzywilejowanie warstw ciemiężonych. Poeta Kamyk żądał wiele. Dotychczasową gnuśność i nieodpowiedzialność rządu smagał rózgą bezwzględnej krytyki. Słowem, przygotowywał grunt.

Tymczasem w rządzie państwa Rzeki Leniwej dało się odczuwać dość znaczne zaniepokojenie. Tym więcej, że zasugerowane akcją „Integralisty" inne pisma również zaczęły ujawniać swoje niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy. Zatem tabetyczni ministrowie państwa i wyperfumowani generałowie poczęli zdradzać objawy podniecenia. Na razie jednak, przed wszystkimi uczuciami, dominowało wśród nich wielkie, ogromne zdumienie, że oto masy — dotąd tak potulne — jęły się burzyć i przebąkiwać o swoich — niecnie ograniczanych — prawach.

Poczęto więc stosować — nieśmiałe początkowo — represje. Powtarzały się konfiskaty „Integralisty". Jednak — miast uspokoić wzburzone umysły — okoliczność ta wzmogła jeszcze ich wrzenie.

Oto odbiera się nam nawet możność wypowiedzi! — krzyczeli uciskani.

A Jastrząb cieszył się z faktu, że niezadowolenie wzrasta.

Jacek Fell otrzymał oddział bojowy, złożony z młodych zapaleńców, których nie trzeba już było zagrzewać do czynu — sami do niego tęsknili. Na zbiórkach poruszano więc tylko kwestie taktyki i przygotowano się do rychłego wystąpienia. Pewnego wieczoru Armada, wysłany przez Jacka do Jastrzębia, powrócił z wiadomością, że czas się wypełnił i oznaczono już ściśle dzień i godzinę czynu. Hasłem dla rozrzuconych po mieście spiskowców miało być zapalenie chińskich, kolorowych lampionów na rogu każdej ulicy. Albowiem wybuch zamieszek miał odbyć się w późnych godzinach wieczornych.

* * *

I teraz miasto nad Rzeką Ryb Leniwych miało być świadkiem wydarzeń epokowych. Myślał o tym Jacek, wracając późnym wieczorem ze zbiórki swego oddziału. Rozdał już broń swoim ludziom i nakazał im spokojne oddanie się oczekiwaniu.

Jacek Fell błądził ulicami i wracało do niego dzieciństwo. Wzrok jego błądził w przestrzeni.

Wieczór pachniał tajemniczo — na pół przyćmione latarnie przywodziły Jackowi na myśl czyn, którego niebawem miał się podjąć. Błądził wąskimi ulicami.

Mijały go kobiety o uśmiechniętych oczach i piersiach ciężkich od miłosnej tęsknoty. Lecz nie oddawał im gorących spojrzeń. Szedł dalej.

Na niewielkim balkonie, ukrytym w liściach winogradu, stoi dziewczyna — smukła, w białej sukni — w jej rudych włosach igrają płomienie. Śpiewa do wtóru gitar, na których w dole brzdąkają muzykanci:

„...O, jakże się weselą
Rosita i Manuelo!..."

Jacek minął i tę scenę, odprowadzany zapachem kawy, tytoniu i kwiatów, płynącym z otwartych okien domów. By uciec myślom, zmrużywszy oczy, wpatrywał się w rozżarzone do białości druciki wewnątrz żarówek, wiszących nad bramami, wzdłuż ulicy.

„Olbrzymia manifestacja! Są nas tysiące!"

Gdy zbliżał się do mieszkania Bicykla, spotkał poetę, biegnącego mu naprzeciw. Bez kapelusza, z rozwianym włosem. Lohengrin wyglądał jak nieprzytomny.

— Fell!! — krzyczał — Fell!! Prowadź! Zbieraj ludzi! Hasło!!

Jacek przystanął. Błyskawicznie zrozumiał wołanie przyjaciela. Oto chwila nadeszła.

— Lampiony? — spytał bez tchu.

— Zapalone.

Pędem pobiegł z powrotem. Bicykl za nim. Na miejscu zbiórki zgromadzeni już byli wszyscy. W rękach bojowców Fellowych połyskiwała broń.

— Schować to — rozkazał — wódz zaraz przyjdzie.

Czekano więc na Jastrzębia.

Zjawił się wkrótce, zdyszany. Za nim na ręcznym wózku przywieziono stertę czarnych sztandarów, które natychmiast rozchwytali przodownicy.

— Bez broni — tłumaczył Jastrząb — formujemy pochód. Olbrzymia manifestacja! Są nas tysiące! — zająkiwał się z wrażenia.

Fell spojrzał naokoło. Pułkownik Wiktor Czeczuga oddał — chwycony w pierwszym zapale — czarny sztandar w ręce dozorcy wychodków, gdyż „na wszelki wypadek chciał mieć wolne dłonie". Poeta Kamyk zaciskał pięści, a usta wykrzywiał mu nieokreślony grymas. Jacek nie widział zegarmistrza. Nie myślał zresztą o nim. W lewej ręce trzymał w tej chwili sztandar, — prawą ściskał w kieszeni kolbę rewolweru.

— Ruszamy — myślał.

— Ruszamy! — krzyknięto gdzieś za nim.

— Formować się! Formować!

— Dokąd idziemy...

— Idziemy.

— Ale...

— G...o cię to obchodzi! —

— Ruszamy! —

— Podniecenie było ogromne.

— Co to znaczy — myśli Jacek Fell, idąc obok Armady, który tymczasem nadbiegł.

— Co to znaczy? Dokąd idziemy — któż przestraszy się naszych czarnych sztandarów?

Nadciąga myśl nowa:

— Gdy przyjdziemy na miejsce (dokąd idziemy właściwie?) — zmusimy wszystkich do uznania naszej władzy — ugięcia się przed siłą naszych decyzji! — (wracały słowa Jastrzębia „na gruzach starego systemu — eldorado przyszłości").

Jacek bez przerwy mówi do siebie, bezwiednie krocząc naprzód ze sztandarem w ręce. Za nim rytmiczne skandowanie butów.

Idą w milczeniu.

Armada spoglądał co chwila na Jacka wzrokiem nic nie mówiącym — Jacek, nawet, gdyby się starał, nie potrafiłby odgadnąć tego wzroku. Nie patrzył teraz zresztą na Armadę. Ale film myśli ukazał i jego:

— Armada — towarzysz ojca i mój serdeczny druh — jak on wspaniale się ze mną zgadzał! To mój przyjaciel...

— a ja?

Widzi morze. Zielone, spienione fale. Wśród nich maleńki punkcik, przezeń tylko dostrzegalny. — K o r e k n a f a l i — myśli i uśmiecha się, bo wie, co to znaczy. Bo słyszy za sobą stuk tysiąca butów — idą w milczeniu.

Jacek niesie sztandar.

Nagle szyk pochodu załamuje się ku środkowi. Jacek, idący z boku, podbiega, chcąc widzieć co zaszło. Ale słyszy tylko:

— Jastrząb! Jastrząb!

— Co się stało z Jastrzębiem?! — woła w stronę Armady, który stoi przed nim.

— Jastrząb zniknął! — brzmi odpowiedź. — Nie mamy wodza!

Słychać teraz trzask drzewiec, łamanych o bruk. To ludzie rzucają czarne sztandary, kłębią się bezładną gromadą. Krzyki, przekleństwa.

Ktoś wyjmuje rewolwer — zamiast strzału suche uderzenie kurka. Jacek próbuje własnej broni z tym samym efektem.

— Co się stało do ciężkiej cholery!!

Gdy banda, porzuciwszy broń i sztandary, rozproszyła się w mroku, z oddali dobiega śpiew:

„...O, jakże się weselą
Rosita i Manuelo!..."

* * *

Po trzech dniach w niezależnym piśmie „Pro publico" Fell przeczytał następującą wzmiankę:

„Terenem ciekawych zajść była onegdaj dzielnica X. Jak dowiadujemy się ze źródeł dobrze poinformowanych, zamieszki wywołane zostały przez grupę mieszkańców naszego miasta, pozostających pod sugestią niejakiego Jastrzębia, umysłowo chorego, który prowadząc swych satelitów ku wyimaginowanej rewolucji, wskoczył do otwartego kanału, ponosząc śmierć wskutek uduszenia. Zwłoki jego odstawiono do dyspozycji władz sądowo-śledczych. Na szczęście innych ofiar nie było, a ze śmiercią Jastrzębia zniknął tajemniczy fluid, przenikający jego towarzyszy, którzy spokojnie rozeszli się do domów. Ten osobliwy wypadek długotrwałej, zbiorowej sugestii, wywołał olbrzymie zainteresowanie w sferach lekarskich. Wkrótce podamy bliższe szczegóły."

(Fragment powieści pt. „Korek na fali".)

ARKADIUSZ WALEWSKI

TAKŻE O ANTOLOGII

1.

Na półce z książkami, w pokoju młodej Francuzki, naturalnie rzecz dzieje się w Paryżu, więc: młodej Francuzki, studentki architektury, którą odwiedzałem dość często w czasie swej bytności we Francji — widziałem kilkaset tomików wierszy. Janette M. — tak nazywała się — kupowała z zapałem poezje i z jeszcze większym pisała je. To pierwsze czyniła Janette o wiele lepiej, a jednak nie powinienem pisać o niej źle, ponieważ dzięki niej przyswoiłem sobie francuskich poetów. Jej pokój, zatrzymany w oczach, pozostał we wspomnieniu łukiem, pod którym przeszedłem w klimat francuskich wierszy — łukiem triumfalnym. W pamięci pozostały nazwiska — fragmenty wierszy — i wrażenia, dzięki którym wiersza bez nazwiska autora nie przypisze się żadnemu innemu, ale właśnie temu, który go napisał.

Jest dziwne pisać tak o poezji jak zamierzałem. Przypomina to poniekąd egzaltację i pasje poetyckiej młodej architektki francuskiej — jest dziwne w Polsce — ale mniej dziwne we Francji. Francuzi są bardziej zżyci z poezją niż my (dla ścisłości: z poezją współczesną). Dla Francuza nowy wiersz Eluarda jest wydarzeniem, a dla nas poemat Jastruna — jest: „Jastrun napisał wiersz". To wszystko.

A to, co pozostawiłem w Paryżu, na półce z książkami, w oczach studentki, w kręgu przyjaciół Eluarda i Aragona — to odnalazłem w „Antologii współczesnej poezji francuskiej" Ważyka.

Pół roku temu nie mogłem się chełpić w paryskich kawiarniach „Antologią liryki francuskiej" Anny Ludwiki Czerny. Co prawda powoływałem się na nią w kilku oddalonych od siebie rozmowach, ale czyniłem to niechętnie.

2.

Żałuję, że nie znałem wtedy zamysłu Ważyka — jego antologii. Siedziałbym pewniej w krzesłach przyjaciół, wygodniej rozpierałbym się w fotelu Janette.

Byłbym nawet złośliwy, proponując Francuzom przekład tej antologii na język francuski...

3.

Kto zżyty jest z francuską poezją, ten wie, jak słusznie szeregował Ważyk:

Aloysius Betrand — **prekursor nowszej poetyckiej prozy „poematów prozą", rodzaj ten poprzez Baudelaire'a dotarł do Maxa Jacoba — a zapewne i do tych, którzy rytmizują tę prozę —**

Gerard de Nerval, **romantyczny, nadwrażliwy fantasta. Ważyk słusznie wybrał i zwrócił uwagę na jeden z najciekawszych wierszy tego poety, skondensowany, zwarty sonet „El Desdichado" —**

Charles Baudelaire, **przypadkowy ojciec dekadentów i patron dezerterów z rzeczywistości w „zaświaty" sztuki —**

Paul Verlaine, **nierówny, nastrojowy „kompozytor" strof —**

Zadziwiający de Lautreamont, **doskonale przełożony przez Napierskiego, w r. 1867 śmielszy w „Śpiewach Maldorora" niż Przyboś w swojej poetyckiej prozie „Równania serca"...**

Alchemik słowa, dynamiczny Arthur Rimbaud, **rzeczywisty twórca obrazów poetyckich w najściślejszym znaczeniu tego określenia, poeta, którego nie sposób określać inaczej, jak zachwytem; praprzyczyna nieomal wszystkich późniejszych osiągnięć szkół i stylów francuskiej poezji —**

Zbytecznie odkryty przez Verlaina Tristan Corbiére, **słaby Corbiére w niezbyt udanych przekładach, o którym zresztą nie warto było mówić —**

Drobnomieszczański Charles Cros, **wielbiciel kabaretu —**

Kunsztowny, misterny cyzelator strof Stephane Mallarmé **— i wreszcie obcy mi, niepokojący najbardziej samego siebie** Maurice Maeterlinck —

Oto początek starannie zestawionej przez Ważyka listy tych, których wpływy wyławia się z późniejszych, przeważnie żyjących dziś poetów, lista tych, do których nazwisk jako końcówkę dla określenia jakiegoś stylu można śmiało dodać „izm".

4.

Ale cóż z tego, kiedy pod żaden z możliwych do urobienia „izmów" nie można podciągnąć żadnego z tych poetów, którzy w pysznym wachlarzu wierszy Gide'a i Oskara Miłosza — aż po Eluarda i Aragona znaleźli swe miejsce w antologii Ważyka.

A zresztą, czy nie jest zbytecznym naklejanie jakichkolwiek etykietek? Ułatwiło by to przede wszystkim pracę historykom literatury i maniakom, układającym na półkach książki według ich przynależności do pewnych epok i szkół.

„...A poeci są po to, by utrudniać pracę i jednym i drugim i mnie" — narzekała wspomniana przeze mnie Janette, studentka architektury.

5.

W tym „impresjonistycznym" omówieniu, nie chcąc utrudniać sobie spokojnej radości swobodnego pisania — poprzestałem na Maeterlincku, chociaż należą do tej zasadniczej grupy równie dobrze Emil Verhaeren, Valéry Larbaud, Guilamme Apollinaire, Jules Supervielle... **.**

W kraju, w którym ludzie czytają tak chętnie poezje, jak chętnie u nas czyta się „Co tydzień powieść" — w takim kraju ziemia rodzi obficie poetów, a poeci wiersze. I są przy tym tak dobrymi poetami, że nie mogą i nie chcą obramowywać się nazwą jednej grupy — że muszą za wszelką cenę różnić się między sobą.

Wyobraźcie sobie podróż Tuwima z „Gałki Muszkatułowej" — do „Skamandra", a stamtąd do „Czartaka" — i jeszcze do (mało znanego) „Nenufaru" — i ostatecznie wylądowanie w „Drugiej Awangardzie" krakowskiej u boku Przybosia i w cieniu Paipera.

Mniej więcej tak podróżują francuscy poeci.

Są tacy.

6.

A jaki jest Ważyk?

Konsekwentny.

Przed dwudziestu laty, omawiając „Antologię nowej liryki francuskiej" Anny Ludwiki Czerny, Ważyk pisał:

„Niepodobieństwem byłoby wynagać od przedmowy czy od zbiorku przekładów ogarnięcia całokształtu, skoro dotychczas nie podołała temu zadaniu, pokusiwszy się o nie, żadna z oryginalnych antologii francuskich. Co prawda wobec ryczałtowych zapowiedzi, że tom ten będzie poświęcony „kierunkowi rewolucyjnemu", dziwi mnie pominięcie Jules Romains'a, Aragona i w in., a pomieszczenie Pellerina i Montherlanta; trzeba jednak uznać swobodę upodobania, bez którego tłumaczenie wierszy byłoby tantalową męczarnią. Natomiast wymagać można i należy nowego podejścia do nowej poezji; a tego nie rokuje zakończenie przedmowy tymi słowami: „Nie przeszkadza to jednak, by w tych wyczelowanych wierszach nie zadźwięczał od czasu do czasu głęboki, bo prosty i szczery, ton uczucia i strwożonej zagadką medytacji". A więc jeszcze szukamy trwogi, zagadki, medytacji, uczucia (jakiego?) Tak, estetyzowanie na modłę tradycji niedawnej zresztą i nie najświetniejszej, odbija się już na wstępie w niektórych przekładach z Apollinaire'a, któremu tłumaczka, poświęcając najwięcej miejsca, bodaj najmniej pietyzmu okazała...

Nie odpowiadają tonacji „Calligrammes", a tym mniej nowej poezji, która między innymi z nich się wywodzi, ani archaizmy literackie, ani słownictwo Młodej Polski, jak pomroka, zadumanie, hen, ino, druh, , lilija, mężе hartowne, **romantyczne miłują. Właściwości techniczne tej liryki zostały w przekładach niedopatrzone; charakter rytmu często nie dochowany; razi niewybredność rymów, brak asonansów, a przypadkowość i jednostronność tych, które się trafiają".**

— Ważyk w swej antologii uniknął tych błędów — i nie popełnił nowych. A było o nie łatwo. Niezwykle staranny układ, troska o zespół tłumaczy, świetne, jedyne w swoim rodzaju omówienie wstępne — i końcowe, wystarczająco obszerne w warunkach antologii „Przypisy" — czynią z tej książki świetną pozycję, a jej wartość i ważkość w naszej literaturze jest uznaniem wysokiej klasy dla trudu autora.

7.

Przyznam się, że we Francji nie znalazłem równie dobrze opracowanej antologii.

A znając na pamięć „Strefę" Apollinairéa — i znając kilka jej przekładów — szczerze podziwiam przekład Ważyka.

8.

Więc o przekładach:

Można kwestionować tłumaczenie pewnych słów, ich znaczenie, jeżeli wyrwiemy je z pewnego związku słów — **ale dobre wiersze mają prawo do tego, by były różnie rozumiane. Dominującą rolę gra tutaj** przeżycie tłumacza **i moim zdaniem** — tak jak poeta interpretuje rzeczywistość — tak tłumacz interpretuje poetę w dokonanym przekładzie. **Zwłaszcza, jeżeli jest poetą. W tym kręgu należy szukać wartości przekładu: właśnie w sensie przekazania w przekładzie innemu językowi wiersza.**

Żeby obrazy wyraźne dla Francuza — były równie wyraźne dla Polaka.

9.

Nawet nie żałuję, że nie posiadam tych wszystkich oryginałów, które pozwoliłyby mi na wyławianie nieścisłości. Istnieje bowiem pewna identyczność wzruszeń między przeżywanymi w Paryżu nad oryginałami w pokoju Janette — a tymi, które odczuwam pochylony nad antologią Ważyka. **Ta identyczność wzruszeń jest najwyższym miernikiem przekładu. To samo musi odczuwać ten, który zna język włoski, czytał w tym języku „Boską Komedię" Dantego — i który czytał potem przekład Porębowicza.**

To samo mówił Benedetto Croce: Wiersz może stać się nawet własnością poety, który go przełożył.

10.

O studentko architektury!

Niech będą wdzięczni twoi rodacy i francuscy poeci za przekłady:

Gide — pełnemu poetyckiej kultury Pawłowi Hertzowi,

Jean Moreas — Stanisławowi Miłaszewskiemu,

Francis Jammes — przede wszystkim Ryszardowi Matuszewskiemu,

Claudel — Świrszczyńskiej,

Anne de Noailles — Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej,

Apollinaire — głównie Ważykowi, tak samo zresztą Max Jacob, Jules Supervielle, Cocteau, Luis Aragon...

I powinnaś być wdzięczna — ty, której tak zależy na „umiędzynarodowieniu" francuskiej poezji — Tuwimowi za kongenialny przekład z Rimbauda, i Jastrunowi i Kottowi, Andrzejowi Jaworskiemu, Kozłowskiemu, Zbigniewowi Bieńkowskiemu, Iwaszkiewiczowi, Rogozińskiemu — i jeszcze raz Ryszardowi Matuszewskiemu.

Oto książka, o której można tyle dobrego powiedzieć. W której nie warto doszukiwać się błędów.

...c'est le chapitre II, quant au chapitre I..., je ne m'en souviens plus...

11.

Ten rozdział jest dla tych, którzy wielbią poezję życia, dla tych nielicznych, którzy rozumieją to, co John Erskine nazwał „miłością życia". Także dla zwolenników sensacji — i dla tych, którzy za radą Schopenhauera i Boy'a lubią przez dziurkę od klucza...

Otóż Gerard de Nerval ginie w niezwykłych, niewyjaśnionych do dnia dzisiejszego okolicznościach. Samobójstwo? Mord rabunkowy?

A Paul Verlaine bierze czynny udział w komunie paryskiej. Kocha się w Rimbaud — ale Rimbaud opętany jakąś dziewczyną ucieka. Zdaje się, że w Brukseli spotyka go Verlaine — i strzela do niego, rani. Dostaje się na dwa lata do więzienia. Po zwolnieniu zarabia we Francji i Anglii jako nauczyciel gimnazjalny. Choruje, pije, prowadzi skandaliczny tryb życia. —

...Na piętrze paryskiego, podrzędnego hotelu siedemnastoletni Comte de Lautréamont, głodny, zmarznięty, wypija litry czarnej kawy i pisze potępieńczy, najbardziej ponury w światowej literaturze poemat prozą. „Śpiewy Maldorora". Włóczą się za nim „tajniacy", podejrzewają go o „spisek przeciw państwu". Umiera mając 20 lat.

Jean Arthur Rimbaud. Zaczyna pisać mając szesnaście lat. W dziewiętnastym roku życia łamie pióro, ucieka, włóczy się po Europie, Azji, Afryce. Dezerteruje z armii holenderskiej, pracuje w handlowej firmie w Harrarze, handluje kością słoniową, nawet niewolnikami, sprzedaje broń negusowi Menelikowi. Umiera w szpitalu w Marsylii, po amputacji nogi.

...pod kołami rozpędzonego pociągu ginie Emil Verhaeren...

A Apolinaire umiera na grypę. Urodzony w Rzymie uczy się w Monaco i Nicei. Nazywa się Kostrowicki, uważają go za Polaka. Zwiedza Niemcy i Czechosłowację. Osiedla się w Paryżu. Pisze tak awanturnicze manifesty, że w 1911 roku, kiedy ukradziono z Wersalu Giocondę, właśnie jego osadzają w więzieniu. Wojna. Walczy w stopniu sierżanta. W 1916 raniony w głowę, trepanacja czaszki. Umiera na grypę w 1918 r.

12.

A la fin tu es las de ce monde ancien —

13.

Antologia Ważyka „całkowicie pomija te odcinki poezji, na których rządzi prawo bezwładności kulturalnej, uwzględnia jedynie nazwiska, wnoszące do poezji francuskiej nowe doświadczenia".

Tak pisze Ważyk. I pisze jeszcze w „Przedmowie" o wielu innych ciekawych i słusznych rzeczach, o których i ja musiałbym pisać, gdyby omówienie niniejsze było recenzją. **Arkadiusz Walewski.**

BRONISŁAW KAMIŃSKI

Migawki paryskie

P a r y ż, w kwietniu.

WYSTAWY księgarń paryskich są pełne śmierci Bonarda. Oślepiającej wprost piękności reprodukcje uderzają o oczy przechodniów i oto ze zgiełku ulic można wejść w długie spojrzenie, które staje się krainą barw. Bonard i Van Hogh, którego wystawa jest ostatnią atrakcją Paryża, to niemi bohaterzy ulic paryskich.

NAJNOWSZYM zjawiskiem i zastrzykiem siły dla literatury francuskiej to dzisiaj niewątpliwie realistyczne osiągnięcia powieści amerykańskiej. Najpopularniejszymi pisarzami we Francji stają się Miller, Hemingway i Steinbeck. Powieści tych pisarzy drukują miesięczniki, kwartalniki, tygodniki i nawet dzienniki. Eksperymentatorzy francuscy dali wydrzeć sobie palmę pierwszeństwa. *Niedawno Louis Aragon oświadczył* — a to przecież autorytet — *że najnowocześniejszą formą poetycką jest aleksandryn.*

Na marginesie życia francuskiego pulsuje w Paryżu również życie polskie. Polaków jest we Francji ponad pół miliona. Owa półmilionowa rzesza ma swoje dwa dzienniki, dwa tygodniki i jeden miesięcznik. Oczywiście nie wszystkie te wydawnictwa wychodzą na pożytek dla narodu.

OBOK wydawnictw periodycznych istnieje w Paryżu dość zamożne wydawnictwo i księgarnia polska. Na czele tego wydawnictwa stoi znany w polskim świecie literackim doktór Lam. Obecnie kręci się ten starszy pan po swoim sklepie i marzy o powrocie do kraju, aby zacząć naprawdę wydawać. „Tu jestem księgarzem tylko — mówi wzdychając — uwiędniemy tutaj. Za dwa lata nic z emigracji nie zostanie..." Doktór Lam zapewne ma rację. Półtora roku temu wydał antologię wojennej poezji polskiej, „Listy spod Morwy" Gustawa Morcinka, parę słowników i samouczków i zapewne chętniej, gdyby nie krępował się opinią, wydałby najnowszy sennik egipski niż wartościowe dzieło, na które napewno nie znajdzie się na tutejszym rynku nabywców.

POMIMO to w Paryżu czasami jakaś zabłąkana owca ukaże na światło dzienne książkę specjalną, nie obliczoną na czytelników, bo tych jest niewielu, ale ujawnioną nakazem ambicji autorskich. Oto niedawno ukazał się doskonały tom wybitnego poety Jana Brzękowskiego pt. *„Razowy epos"*. Tematem tych wierszy jest ostatnia wojna światowa, pięknie i delikatnie przetransponowana na utwór o wysokim poziomie. Niestety Brzękowski sam odseparował się od społeczeństwa i stał się ofiarą agitacji emigracyjnej, która żeruje na ludziach i oddziera od narodu.

Obok tomu Brzękowskiego ukazały się jeszcze w Paryżu dwie inne pozycje poetyckie, a mianowicie *„Strofy gorące"* Zofii Nawrockiej i Jerzego Stolarka *„Po trzykroć ziemia"*. Obydwie te książki powinny się ukazać w Polsce, a nie na emigracji, zwłaszcza że autorzy nie mieliby przeciw temu nic, a przeciwnie, oboje pracują w organizacjach pomocniczych ambasady. Te dwa debiuty poetyckie różnią się całkowicie. Zofia Nawrocka, talent już dojrzały, błyskotliwy, operujący łatwą, po-tuwimowską formą, osiągnęła w swojej książeczce już chyba wszystko, co osiągnąć mogła. Nie ma tam problemów specjalnych, lecz wiele powierzchownych wzruszeń zmysłowych. Dużo wykrzykników, a mało refleksji. Tom Stolarka natomiast, choć pod względem jednolitości o wiele więcej pozostawiający do życzenia, jest w nim bowiem wiele załamań, nierówności i nawet zgrzytów, to jednak jest bezsprzecznie pozycją o wiele ciekawszą, jako zapowiedź dużego talentu. U Stolarka jest dużo świeżości i widać, że autor nie idzie na łatwizny. Po autorze *„Po trzykroć ziemia"* jeszcze można się spodziewać ciekawych osiągnięć.

KIEDY czasami spotykam Zbigniewa Bieńkowskiego i siedząc w kawiarni gwarzymy o najnowszych zdarzeniach lub o poezji, — bo o czym moglibyśmy rozmawiać — zawsze dziwi mnie jego twierdzenie, że Julian Przyboś, to od czasu Leśmiana najwybitniejszy polski poeta. Ten problem mnie często atakuje i gnębi. Zagłębiam się w Przybosia i próbuję go odkryć. Lecz miast świetności poetyckiej odkrywam zupełną powierzchowność doznań, często ciekawą metaforę i to wszystko. Z dalekiego Paryża twórczość Przybosia, choć kiedyś byłem jego wielbicielem, wydaje mi się nieporozumieniem, nad którym niepotrzebnie tylu ludzi się zastanawia. „Człowiek się musi znaleźć w poezji" niedawno powiedział Paul Eluard. Tworzenie piękna w głąb, wszerz i wzwyż, i wciąganie społeczeństwa w to piękno, to zadanie artysty. Broń Boże, nie chodzi mi o sztukę popularną. W dziwacznej, hermetycznej formie Przybosia piękno jest zawarte tak, jak sardynki w blaszanym pudełku i trudno się dobrać bez klucza. Nowatorstwo Przybosia a właściwie jego maniera, jest, względnie była by tu we Francji, na którą wszyscy nasi nowatorzy się powołują, — po prostu spóźnionym anachronizmem. Dzisiaj artysta chce spojrzeć człowiekowi prosto w oczy.

Bronisław Kamiński.

AGNES CHABRIER

Życie umarłych

(Fragment powieści, odznaczonej Nagrodą Krytyków w lipcu 1946 r. (Prix des critiques 1946), przedstawiającej życie Warszawy pod okupacją niemiecką i powstanie warszawskie.)

ZOSIA czekała na nią przed luksusową kawiarnią „Arria". Młoda dziewczyna, o oczach bardziej niebieskich niż suknia, w którą była ubrana, z daleka już pozdrowiła ją żywym ruchem ręki i z wysoko podniesioną głową, której jasność uwydatniało uczesanie, z torbą wciśniętą pod ramię, bardzo pewna siebie, rozświetlona niewymuszonym uśmiechem, po którym można by ją rozpoznać pośród wszystkich innych, ruszyła przez ulicę na jej spotkanie.

— Dobry wieczór — błysnęła uśmiechem.

Ująwszy Aldonę pod ramię ścisnęła je powyżej łokcia i ciągnęła ją naprzód, podśpiewując wesoło. Aldona odczuła od razu, że ta wesołość i beztroska pokrywają jakieś długie i straszliwe wewnętrzne drżenie. Nie usiłowała poznać przyczyny tego lęku. Zacisnęła silnie palce na ręce, przytrzymującej jej ramię i wydało jej się, że uczestniczy teraz trochę w tym przerażeniu. Spróbowała mówić:

— Dokąd mnie prowadzisz?... Czy wynajęłaś mieszkanie?...

— No chyba?!... Czy myślisz, że straciłam taką okazję? Wspaniałe mieszkanie na Żoliborzu, w domu rozciętym na pół przez bomby podczas oblężenia. Istne marzenie! Wanda pomyśli, że oszalałam... Ba... dom wygląda na nie nadający się do zamieszkania, Niemcy nie będą jej już więcej wyrzucali. Aldono, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zobaczę moją małą Wandę już za tydzień!...

Uwolniła się nagle od lęku, jak gdyby powrót siostry miał ją osłonić przed wszelkim niebezpieczeństwem; radość fizyczna, jaką posiadały jej członki, udzieliła się zmysłom...

— Śpiesz się, spóźnimy tramwaj...

I odnajdując utraconą wolność, ciskała swoją radość upartym ruchem podbródka, uśmiechem, płochym słowem — jesiennemu słońcu, ruinom i przechodniom, wychudłemu koniowi starego dorożkarza i źle odżywionemu rikszarzowi.

— Prawda, jacy oni wszyscy mili? Ach, jak ja ich wszystkich lubię!!!

Rzadko się zdarzało, aby Zosia nie obrzucała świata swą sympatią. Mali gazeciarze, bosi, okryci łachmanami, biegali między przechodniami z grubymi naręczami gazet:

— Kurier Warszawski! Kurier Warszawski!

Kurier Warszawski wydawali Niemcy i należało podziwiać spryt tych małych chłopców, którym się udawało umieszczać to pismo w rękach najbardziej opornych: — Kurier Warszawski, proszę pani.

Zosia pogłaskała zadartą w górę główkę małego człowieczka i wsunęła mu cukierek, pytając:

— I po co się tak starasz? Żeby sprzedać jak najwięcej tych niemieckich gazet?

Czarne oczy łobuza zamrugały porozumiewawczo i psotnie:

— Ale dzisiaj radzę pani kupić... Numer jest bardzo, bardzo interesujący... Pełen niemieckich zwycięstw nad Anglią...

— A... w takim razie! — zaśmiała się Zosia i dała dziecku banknot. Mały podziękował i pobiegł w tłum, pomiędzy samochody Wehrmachtu, wykrzykując tytuł gazety triumfalnym i ostrym głosikiem. Dziewczęta rozłożyły gazetę i Zosia zmarszczyła brwi, zirytowana: pismo, cenzurowane przez nieprzyjaciela, nie ukrywało wśród swych szerokich stronic żadnej konspiracyjnej gazetki.

— I pocóż mi ten mały nicpoń kazał kupować tę szmatę?...

— Czytaj — powiedziała Aldona, wskazując palcem krótki artykulik.

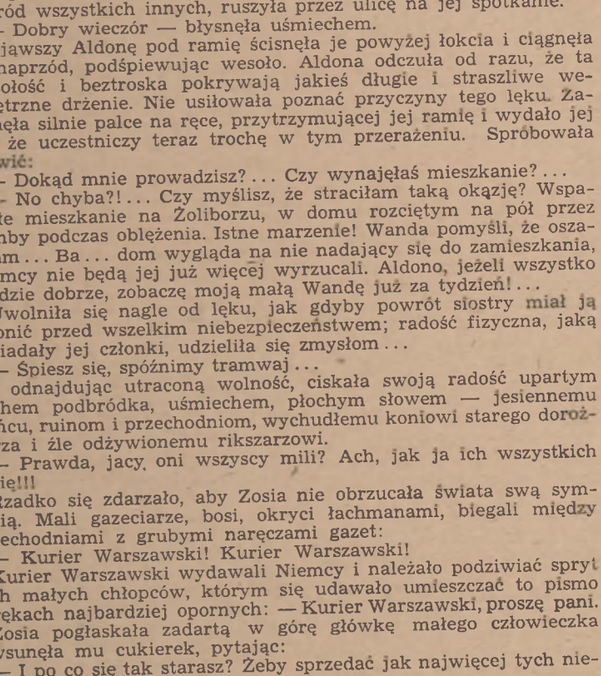

„Kurier Warszawski! Kurier Warszawski!"

Tak, był to rzeczywiście tytuł, format, papier, druk i układ Kuriera Warszawskiego, ale to nie on, lecz *Biuletyn Informacyjny* ukazał się tego dnia pod tą doskonałą charakteryzacją... Dziewczęta wybuchnęły śmiechem, patrząc, jak dwóch niemieckich żołnierzy, poważnie i natarczywie zachęcanych przez tego samego łobuza, kupuje od niego gazetę.

— Lepiej stąd zwiać — powiedziała Zosia — oto tramwaj.

Dobiegły do Marszałkowskiej w sam czas, aby zdążyć wepchnąć się do przepełnionego tramwaju. Wspięły się na platformę bez specjalnych trudności. Wystarczyło posuwać się za Zosią, umiejącą wszędzie torować sobie drogę uśmiechem, dobrym żartem i niezachwianą pewnością siebie. Zegar tramwajowy wskazywał szóstą piętnaście. Z drugiej strony, w części wozu prawie pustej, zarezerwowanej dla Niemców, dwóch żołnierzy z karabinami między nogami, zaśmiało się, wymieniając głupie żarty.

— A niech się śmieją — powiedziała głośno Zosia — dyrektor przedsiębiorstwa nie będzie się śmiał, gdy obliczy kasę...

Niemcy przywłaszczyli sobie Przedsiębiorstwo Tramwajów Miejskich i Polacy uważali wskutek tego za punkt honoru nie kupować biletów, korzystając z przepełnienia wozów. Równowartość ceny biletu wręczali konduktorowi, który nie mógł za swą marną pensję przeżyć dłużej niż trzy dni w miesiącu, a mając czas zajęty, nie był w stanie zarabiać handlem na czarnym rynku.

Na każdym przystanku nowi pasażerowie dostawali się jeszcze do wozu lub przyczepiali do stopni. Tłum rozdzielił dziewczęta. Ściskając mocno pod pachą torbę i gazetę, Zosia zdołała uchwycić zwisającą skórzaną pętlę i stojąc tak, wznosiła ku wszystkim intensywnie niebieskie spojrzenie. Znosiła z humorem wstrząsy tramwaju, rzucające jednych na drugich. Aldona przyglądała się jej z dala, zdumiewając się zmianą, jaka w niej zaszła. Napięcie woli i zmysłów nadało pewną twardość jej rysom. Uważne spojrzenie odzwierciedlało badawczość bezgraniczną i okrutną. Uśmiechy i płocha paplanina były jedynie szminką, nie mogącą zmylić Aldony, nałożoną z kokieterią na twarz bardzo znużoną.

Aldona poczuła czyjąś rękę na swym ramieniu i odwracając ze zdziwieniem głowę, napotkała spojrzenie biednie ubranej kobiety, z powiększonymi strachem oczami:

— Czy pani słyszała?...

Nie zdążyła odpowiedzieć. Tramwaj ujechał jeszcze kilka metrów i zatrzymał się gwałtownie. Ktoś szepnął:

— Niemcy...

Wszyscy zrozumieli. Szorstkie głosy ryczały:

— Heraus! Heraus! Schnell!!...

Był moment okrutnego niezdecydowania. Skazańcy nie mogli zrezygnować z wolności. Oszalałe, białe spojrzenia szukały jeszcze sposobów ucieczki, ręce wczepiały się w żelazne pręty i w skórzane pętle ruchem nieświadomym, broniącym się przeciw wywleczeniu ciała poza ten niepewny schron. Przerażenie napiętnowało twarze głupkowatym wyrazem.

— ...Rrraus!...

Żołnierze pochwycili najbliższych, przyczepionych do stopni i zmuszali pasażerów do wyjścia. Jakieś dziecko zaczęło szlochać, chowając twarz w spódnicę matki. Spojrzenia były zalane strachem, kolana bezsilne, ludzie usłuchali rozkazu z całkowitą rezygnacją rozpaczy. Aldona, usiłująca napróżna przybliżyć się do Zosi, szukała jej wzroku. Zosia nie zdążyła pozbyć się gazety. Niemcy zmusili ją do wyjścia jako jedną z pierwszych, chwytając ją za rękę. Nie stawiała oporu, blada, lecz wyprostowana i z błyszczącym spojrzeniem, z Kurierem Warszawskim pod pachą, poszła w rzędzie uwięzionych. Ucieczka była niemożliwa. Pasażerowie wychodzili z tramwaju jeden za drugim w ten sam mechaniczny sposób. Owo zatrzymanie ich bytowania było tak niespodziewane, a przerażenie tak wielkie, iż zdawało się, że wola ich przepłynęła w całości w ręce nieprzyjaciela. Aldona wyszła z kolei także i została skierowana na trotuar po prawej, gdzie jej towarzysze niedoli, ustawieni rzędem, z rękoma skrzyżowanymi na karku, zdawali się ją oczekiwać. Na obydwu końcach chodników żandarmi w kaskach pilnowali więźniów z bronią, skierowaną w ich stronę. Przemogła się, aby odzyskać zimną krew, lecz jedno spojrzenie przekonało ją o beznadziejności sytuacji. Żołnierze uzbrojeni w rozpylacze zamykali obydwie strony Marszałkowskiej, od Świętokrzyskiej do Zielnej. Przechodnie okrążeni na tej szerokiej przestrzeni czekali w straszliwym milczeniu. Żadnej nadziei...

Prawda — powolna, okropna prawda dotarła do jej świadomości. Jest oto postawiona na brzeg tego trotuaru z rękoma podniesionymi, jak przedmiot bez własnego życia, bez rzeczywistości, tak samo, jak Danuta i Jadwiga dnia poprzedniego w południe. I już nie wie się o nich nic. A teraz przyszła jej kolej. Nie chce w to uwierzyć. Niebezpieczeństwo, przed którym drżała i którego groźba budziła ją po nocach ze strasznych koszmarów, zwaliło się oto na jej ciało, chwyciło ją, jak zdobycz. Mogłaby wyć ze strachu. Nie jest już oto władcą swego losu. Uzbrojony nieprzyjaciel może ją popchnąć według swego widzimisię, wywieźć na niewolnicze roboty, wrzucić do obozu koncentracyjnego, zamknąć w domu publicznym. To on zadecyduje o jej losie. Nie ma już prawa mieć własnej woli, nie ma już prawa wyboru, nie ma już prawa oczekiwać Romana, ani mieć nadziei, że on powróci, nie ma już prawa kochać. Nie jest już stworzeniem ludzkim...

Spojrzała na swych sąsiadów i pobladła z chłodu w tym gorącym zmierzchu. Życie, wola, moc konieczna do życia i jego obrony zagasły w tych twarzach. Nawet ból już nie przesłaniał otępiałych spojrzeń, wpatrzonych w rozciągłość nieszczęścia. Zdawało się, że ci ludzie są więźniami od najdawniejszych już czasów. Niezadługo ockną się przecież z tej nierzeczywistości i wkroczą z powrotem w cierpienie, odnajdując jednocześnie swe stanowisko człowiecze. Milczenie bezgraniczne wylewało się z tej ulicy na całe miasto — milczenie, podkreślone krzykiem i szturchańcami, śmiechem i przekleństwami Niemców, ryczących na całe gardło dla podkreślenia swej siły. Aldona zagryzła usta, aby nie wybuchnąć płaczem i opuściła ręce. Ale drżąc podniosła je zaraz znowu ze strachu przed uderzeniem, które by ją zmusiło do ponownego przybrania tej bezbronnej pozy. Zerknęła na żandarma. Ziewał bezwstydnie, zblazowany tym codziennym widowiskiem, lub może ociężały po zbyt obfitym śniadaniu. Położenie jej było uprzywilejowane. Stała w samym środku nierównego i ściśniętego szeregu, w jednakowej odległości od obydwu strażników. Odwróciła głowę: chodnik był wąski, a tuż poza nim magazyn z kaloszami i drewniakami w oknie sklepowym. Krew uderzyła jej do głowy jak powiew wolnego powietrza. Cofnęła się nieznacznie. Cała jej istota zaczęła wołać o siłę, pewność siebie, przytomność umysłu i bliskość Zosi. Powstrzymała z trudem okrzyk zdumienia: to ona, tak to właśnie Zosia, lekceważąc całkowicie rozkazy i groźne wezwania żandarmów, wciąż z Kurierem Warszawskim pod pachą, — odrywa się od szeregów i uśmiechnięta oddala rozkazującym ruchem ręki żołnierza, który się rzucił, aby ją zatrzymać. Posuwa się prędkim krokiem ku oficerowi, prowadzącemu obławę na przeciwległym końcu prostokątu, przy rogu Zielnej, gdzie, z rewolwerem w ręku, pilnuje całej operacji. Aldona wie dobrze, jakie dygotanie wewnętrzne kryje się pod tą doskonałą swobodą ruchów, jaka udręka pod tym uśmiechem. Wszystkie spojrzenia, nie wyłączając spojrzeń żołnierzy, są wlepione w tę niebiesko ubraną dziewczynę, wyzywającą rozkazy. Aldona powstrzymała oddech i powzięła decyzję. Cudownym zrządzeniem losu Zosia odpowiedziała na jej wezwanie i udzieliła zażądanej pomocy. Aldona cofnęła się w głąb chodnika, spojrzała w szybę wystawową nie widzącym wzrokiem i poczuła, jak drżą jej plecy, oczekujące lada chwila kuli, która ją przygwoździ przy próbie ucieczki. Cisza przyniosła ku niej podniesiony głos Zosi. Mówiła po niemiecku, ale zmysły Aldony były już tylko instrumentem jej trwogi i męczeństwa. Widziała, słyszała i czuła już tylko swój strach. A przecież trzeba, koniecznie trzeba zmusić serce, aby przestało walić tak mocno, kolana muszą znaleźć siłę, nieodzowną do przeniesienia jej przez te drzwi. Patrzała na witrynę, nie widząc jej. Było po szóstej. Co zrobi, jeżeli drzwi sklepu się nie otworzą, a żołnierze napewno zauważą próbę ucieczki?... Posuwając się nieznacznie ku progowi, pomyślała o lęku, jaki wstrząsał Zosią w chwili ich spotkania. Co zawiera torba, którą tak silnie przyciska do siebie?... Po co, po co podeszła do oficera? Oślepiona przerażeniem poczuła pod obcasem kant progu. Wyczulone uszy wyławiały z przyszłości ostry krzyk, który ją zatrzyma na zawsze...

— Pani mnie uratowała... Pani jest bardzo dzielna... — głos Romana mówił w niej jeszcze. Zajęczała z udręki, czując bezmiar swego tchórzostwa. Nie usiłując się już ukrywać, zrobiła prędki krok naprzód, weszła na próg, poczuła się pochwycona przez sto spojrzeń, ale pchnęła drzwi i wpadła do magazynu. Straszliwy szum w uszach zagłuszał tysiące krzyków, towarzyszących zapewne jej ucieczce, hałas podkutych butów, biegnących jej śladem. Spojrzenie jej było ślepe. Opuszczały ją zmysły. Nie miała czasu na zaczerpnięcie oddechu. Nie wiadomo skąd wynurzył się przed nią wysoki starzec. Zmierzywszy ją wzrokiem pełnym litości, nie pytając o nic, wskazał drzwi w drugim końcu sklepu:

— Podwórze... tamtędy... prędko... w głębi podwórza drzwi wychodzą na ulicę... Droga jest wolna... niech się pani niczego nie boi...

Wybełkotała podziękowanie i zaczęła biec. W ciemnym przejściu spadła z trzech stopni, wiodących na podwórze, upadła, podniosła się natychmiast. Nie czuła poranionych kolan. Usiłowała wmówić w siebi, że jest uratowana, ale nieprzyjaciel był po drugiej stronie drzwi i w całym mieście i w całej Europie. Nie ma ucieczki, nie ma możliwego ratunku. Bała się zdradzić ze swym przerażeniem przy zetknięciu z pierwszym mundurem, spotkanym na ulicy. Odetchnęła głęboko, mijając podwórze i nagle zaciążyła jej tak straszliwie myśl o Zosi, że stanęła jak wryta, z pełnymi łez oczyma. Po Danucie i Jadwidze — Zosia... Niezdolna stawić czoła tej stracie, zapragnęła odzyskać nadzieję. Zosia musiała przecież mieć jakiś cel, wykazując tyle zuchwalstwa, a mówiła po niemiecku, jak Niemka.

Wyszła na małą uliczkę, usiłując grać rolę osoby, całkiem nie poinformowanej o pobliskiej obławie. Nie mogła jednak od razu opanować przerażenia. Wspomnienie dopiero co przeżytego niebezpieczeństwa i piekła, jakiego zdołała uniknąć, napełniało ją wciąż wzrastającym strachem. Za ile godzin, za ile lat dopiero popłynie jej krew swym normalnym biegiem, a członki odzyskają siłę i zmysły, spokojną władzę?... Nie była w stanie wyobrazić sobie wypoczynku. Zosia, ach! Zosia... Bladła pod wzrokiem przechodniów. Iluż było Niemców między nimi... Nie mogli przecież nie zauważyć lęku, który ze sobą niosła w głębi spojrzenia, w oszalałym drganiu ust, w zwilgotnieniu dłoni, w tym rzucaniu się przed siebie jak do ucieczki, powstrzymywanym zaraz z miną winowajcy. Przy wejściu do Starego Miasta przyśpieszyła kroku. A może Zosia czeka już na nią, paląc papierosa, pełna uśmiechów, które jej już nie zmylą... Usiłowałyby wspólnie śmiać się, żartować, ośmieszać głupotę zdobywców i ukrywałyby jedna przed drugą fale strachu, wstrząsające nerwami za każdym nocnym dźwiękiem, rozlegającym się w uśpionym domu. Pomyślała o Marianie Kowalewskim. Rozumiała teraz lepiej jego męczarnie i zawody, a nigdy nie rezygnującą nadzieję. Takie samo dręczące oczekiwanie rozpocznie się już wkrótce w tych wszystkich warszawskich domach, do których nie powrócą jej niedawni towarzysze niedoli... Dotarła wreszcie do Piwnej i z trudem weszła na schody. Kolana broczyły krwią, a głowa pękała od rwącego bólu. Teraz, gdy bezsensowny a szczęśliwy traf zwrócił jej wolność — zaczęły ją dręczyć wyobrażenia o losie towarzyszek. Danuta, Jadwiga, Zosia... Co je czeka i na co będą skazane?... Wszystkie trzy były na swoje nieszczęście młode i czarujące. Intelektualistki i arystokratki bywały najchętniej przydzielane żołnierzom. Mogli je również wywieźć do Oświęcimia. Aldona stłumiła jęk, przypomniawszy sobie gazetę, którą Zosia tak mocno trzymała. Wieszano już kobiety za mniejsze niż to wykroczenia... A torba?... Co było w torbie?... „Straszliwie torturowany przez Gestapo zażądał trucizny. Nie byłby już wytrzymał następnego badania..." — tak powiedziała Zosia nie dawniej jak 24 godziny temu.

Mieszkanie było puste. Myśl o Zosi dręczyła ją ciągle. Trzęsła się przy najmniejszym hałasie. Wiedziona nadzieją przeszła do drugiego pokoju i wychyliła się przez okno, obserwując wąską uliczkę. Modlitwy poruszały jej wargi... powtarzała je, dopóki ich słowa nie zatraciły wszelkiego znaczenia. Strach i niecierpliwość ganiały ją z końca na koniec mieszkania. Próbowała z siebie wyrwać tę pożerającą udrękę, ten niepokój nie do zniesienia. Wyrwać choćby razem z odwagą stawienia czoła dniu jutrzejszemu i ulicy z jej śmiertelnymi niebezpieczeństwami.

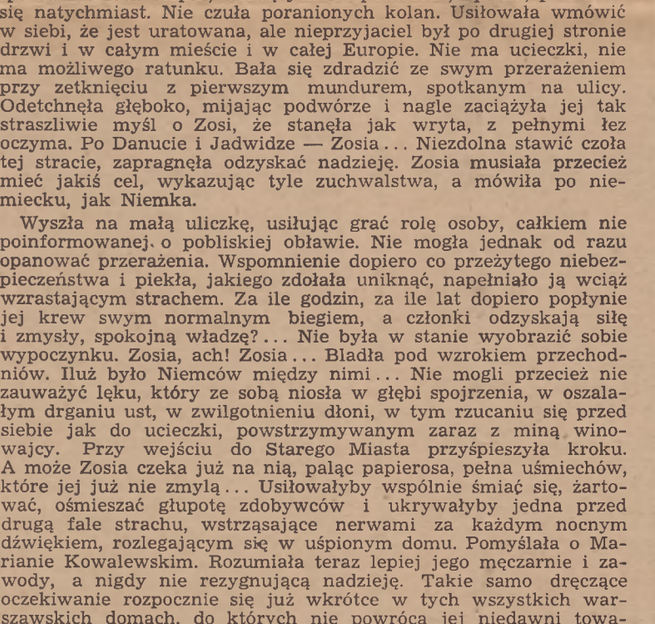

Rys. Rohoziński.

„Nie wiadomo skąd wynurzył się przed nią wysoki starzec".

Nadeszła noc. Zosia nie wróciła. Należało się pożegnać z wszelką nadzieją. Spojrzała na tapczan, gdzie Zosia zawsze sypiała, na stół, na którym stawiała co wieczór fotografię swego narzeczonego. Powróciła do swego pokoju, położyła się w ubraniu i wstała znowu. Prześladował ją obraz tylu rodzin, dla których oczekiwanie stawało się coraz bardziej jątrzące, a nadzieja coraz bardziej znikoma.

Było już około północy, gdy zapukano do drzwi wśród ogólnej ciszy. Unieruchomiona przerażeniem, nie odpowiedziała od razu... i uderzenia rozległy się z podwójną gwałtownością. Była to godzina aresztowań. Ucieczka jej była więc daremna, opór byłby także bezskuteczny. Macając w ciemności, doszła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Silna ręka pchnęła je do wnętrza:

— Nie byłabym cię nigdy uważała za zdolną do snu po takim wypadku. Ach, kochana moja, tak się o ciebie bałam... w jaki sposób udało ci się uciec?...

Radosny głos Zosi, jej usta na policzku, ciepły uścisk jej ramion. Za wiele, za wiele szczęścia... Otworzyła usta, aby powiedzieć:

— To było proste, a ty?... — lecz uczuła w ciemności zamieranie swego serca i upadła na wznak.

Z francuskiego spolszczyła **St. Miłkowska-Iwańska.**

SZTUKA NA WARMII

Ludowa

MADONNA (obraz na szkle). Przykład interesujący ze względu na szczupłą gamę kolorystyczną, złożoną z dwóch barw: jaskrawej minii i ciemnej zieleni. Rozwiązanie i uproszczenie postaci posiada swoisty wdzięk. Jeden z dojrzalszych okazów tej prymitywnej i zaginionej sztuki.

CHRYSTUS UKRZYŻOWANY (malowidło na papierze) Ludowe malowidła na papierze należą do rzadkości. Przykład ciekawy ze względu na symbiozę stylu klasycznego z elementami ludowymi. Wazony oraz kotara nad krzyżem należą do empiru, reszta posiada cechy ludowości. Sądząc z powyższego powstał około 1825 r.

CHRYSTUS UKRZYŻOWANY (obraz na szkle)

Jeden z ostatnich przykładów zaginionego obecnie malarstwa ludowego, a powszechnego ongiś na Warmii. Powyższy obrazek jest nadzwyczaj barwny. Ujęcie postaci ludzkiej i zdobnictwo ornamentacyjne posiada wiele pokrewnych cech z przykładami tej techniki występującej na Kaszubach, skąd prawdopodobnie ją przejęto.

KOPIA LUDOWA CUDOWNEGO OBRAZU ZE ŚW. LIPKI. Obraz wykonany czarnym konturem na srebrnym płótnie. Szatę Madonny i Dzieciątka przelaserowano żółtym barwikiem, stwarzając w ten sposób imitację złota. Twarze są koloru różowego i szczególnego wdzięku. Nazwisko twórcy jest nam wyjątkowo przekazane. Jest nim F. Przyjemski, rok 1853.

ŚW. KATARZYNA (obraz na szkle). Pochodzi jak i poprzednie z bliżej nieokreślonej miejscowości Warmii i posiada wszystkie lokalne cechy, charakterystyczne dla tej techniki.

Reprodukcje ze zbiorów Muzeum Mazurskiego w Olsztynie (Fot. Zygmunt Drzewicki)

Gotycka

POJMANIE CHRYSTUSA (r. 1515) Kwatera ołtarza św. Jodokusa w Sątop.

PIETA Z POCZ. XVI WIEKU Nieznany rzeźbiarz doskonale wyraził w twarzy Madonny zastygłą boleść matki. Rzeźba jest dyskretnie polichromowana. Pochodzi z nieokreślonej miejscowości Warmii.

OŁTARZ POSZPITALNY Z BARTOSZYC (koniec XV wieku). Kwatera ze skrzydła ołtarzowego nieistniejącej kaplicy szpitalnej św. Ducha w Bartoszycach. Najciekawsza scena tego ołtarza o charakterze wybitnie mistycznym. Na drzewie Krzyża zawieszony herb fundatora.

***BICZOWANIE CHRYSTUSA** (z r. 1515) Kwatera ze skrzydła ołtarzowego św. Jodokusa ongiś w Satopach pow. Reszel. Jest to najokazalszy przykład malarstwa cechowego istniejący na terenie województwa olsztyńskiego. Nieznany ówczesny malarz w sposób doskonały oddał charakterystyczne składniki sztuki schyłkowego gotyku, która lubowała się w skomplikowanych i efektownych gestach figur ludzkich.*

Z Czechosłowacji

Morawskie koło pisarzy razem z Oświatowym i Szkolnym Referatem w Brnie urządza z okazji 60-tych urodzin pisarza, poety i krytyka literackiego dr. Wojciecha Martinka wystawę jego prac. Wystawa obejmie wszystkie dzieła od początkowych do najnowszych, jakie zostały wydane, dalej rękopisy, przekłady, wiersze, różne fotografie, ilustracje jego dzieł i inne.

W uroczystościach z okazji 90-tych urodzin literata i publicysty *Jana Herbena* mają wziąć udział także pisarze polscy. W połączeniu z wyżej wspomnianą uroczystością odbędzie się walne zgromadzenie literatów czeskich, w którym wezmą udział i goście zagraniczni, a więc Polacy, Jugosłowianie, Bułgarzy, Rosjanie i Francuzi.

JÓZEF LIGĘZA

Spojrzenie w głąb izby śląskiej

Opolszczyzna posiada wiele pięknych drewnianych kościółków — skryte wśród starodrzewia, między cmentarnymi krzyżami, drzemią mistrzowskie dzieła ciesiołki ludowej. Oto jeden z nich w Zacharzowie, pow. gliwicki.

Niewątpliwie mało kto z czytających opisy etnograficzne w prasie czy nawet jakąś etnograficzną publikację zastanawiał się nad tym, jak tego rodzaju opisy i prace powstają. Istotnie bowiem w czytaniu to wszystko wygląda tak prosto. Wielu ludzi wprost sądzi, że nie ma nic łatwiejszego, że wystarczy wyjechać na wieś...

W praktyce wystarczy jednak pojechać na tę wieś, by się przekonać, że to nie takie proste. Poza przedmiotami kultury materialnej — których nawet dziś już szukać trzeba — jak domy, strój, narzędzia rolnicze itp., które mogą być fotografowane czy rysowane, nie widać owej kultury ludowej.

Pewien profesor historii sztuki, miał w związku z tym zabawną przygodę. Wybrał się on, jeszcze przed wojną, w Beskid Śląski na etnograficzne poszukiwania. Nie pomnę, w której to wsi, wszedł do goralskiego domku, zastukał laską w drzwi i woła: „Gospodarzu macie tam jakie okazy etnograficzne?". Wyszedł na to stary gazda, przypatrzył się i powiada: „Nie panoczku, to nie u nos, to tam dali, bo tam cosi pokradli.

Zwłaszcza bezradny jest na wsi człowiek z miasta, dla którego nie wszystko co rolnicy czynią jest zrozumiałe. Trzeba dłuższego czasu dla zapoznania się z codziennym życiem człowieka wsi, by na tym tle dostrzec różne ciekawe wydarzenia, stanowiące fragmenty kultury ludowej. Ta, że tak powiem, metoda zżywania się z ludźmi i tą drogą wżywania się w ich kulturę wymaga obok czynnej chęci jeszcze i czasu. Trzebaby na wsi pomieszkać przynajmniej rok, a na to nie każdy może sobie pozwolić. Są jednak przedstawiciele pewnych związków, jak księża, nauczyciele, urzędnicy administracji i t. d., którzy stale mieszkają na wsi. Ludzie ci mają niejednokrotnie możność wglądu nie tylko w życie, ale w duszę człowieka wsi. Jakoś jednak stronią od spisywania swych spostrzeżeń. Jest to niewątpliwie wielka szkoda. Etnografia, jako nauka badająca kulturę ludową, ma słuszne do nich pretensje o obojętność wobec zjawisk oryginalnego świata kultury, w którym tkwią nieraz latami.

Drugim sposobem bezpośredniego poznania kultury ludowej jest wywiad. Kultura ta, jak wiadomo, nie jest utrwalona pismem czy drukiem, ale przeważnie zawierzona pamięci i ustnie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Żywy człowiek, który wzrósł w jej kręgu jest źródłem jej poznania. Ale czy on może wiedzieć o co temu przybyłemu chodzi. Przede wszystkim to obcy, a wobec obcych należy zachować rezerwę. Rezerwa ta jest tym większa, im bardziej zachowawcza i ekskluzywna jest gromada, której jest członkiem. Postawa nieufności wobec obcych właściwa nieomal wszystkim włościanom, działająca dziś automatycznie, ma swoje stare wierzeniowe, magiczne i społeczne uzasadnienie. Wystarczy przeczytać szkic Bystronia p. t. „Czarność obcych", a wówczas nie zdziwi nas żywiołowa chęć zbycia pytań obcego byle czym i możliwie rychłego pozbycia się go. Zwłaszcza, gdy chodzi o zagadnienia bezpośrednio z nim związane, nie mówiąc o stronie intymnej przeżyć. Zazwyczaj przygodny etnograf o tym wszystkim nie wie i nawiązuje rozmowę, ale rychło staje bezradny wobec lakoniczności swego partnera. Zaczyna mu brakować pytań, docierających do istoty zagadnienia. Jechał na wieś, by poznać kulturę ludową, sądził, że sami włościanie będą o niej mówili, a tymczasem zaledwie na pytania odpowiadają i to na pytania konkretne. Przygodny etnograf przekonuje się, że do prowadzenia wywiadu trzeba się przygotować. Postanawia więc po powrocie pójść do biblioteki, pożyczyć sobie jakąś pracę dotyczącą tej dziedziny. Tak postąpi człowiek rozsądny — innego nieudała wyprawa zniechęci, a całą winę zwali na ludzi wsi, na ich skrytość, nieżyczliwość, niekulturalność, względnie twierdzić będzie o całkowitym zaniku kultury ludowej. Tacy „niewyżyci" etnografowie wielce szkodzą dobremu imieniu i opinii o ludziach środowiska wiejskiego.

Przyjrzyjmy się dalszym losom etnografa rozsądnego, próbującego przygotować się do badań np. na Śląsku. Ku jego szczeremu zdziwieniu dowiaduje się w bibliotece, że wcale nie ma pracy, informującej o całokształcie śląskiej kultury ludowej. I wówczas on amator, nie naukowiec, ani jakiś działacz kulturalny, staje, jak się to mówi, oko w oko, z jedną z potrzeb nauki polskiej o Śląsku.

Uzasadnianie wagi tej potrzeby byłoby wyważaniem otwartych drzwi, boć śląska kultura ludowa to żywy, kapitalny dokument polskości tej ziemi i wszystkie nawet najdrobniejsze okruchy tej kultury winny być przez nas pieczołowicie zebrane. Nie tylko dla dokumentacji, nie tylko dla interesów naukowych czy praktycznych korzyści, ale już choćby z uwagi na to, że właśnie jej zawdzięczamy polskość Śląska.

W całokształcie potrzeb nauki polskiej jest ona jedną z najpilniejszych. Najwięcej chyba ludzi czeka na jej zaspokojenie, a warunki kształtujące kulturę środowisk wiejskich zdecydowanie ją dopingują. Widocznie nie łatwa to sprawa, skoro do dziś potrzeba ta pozostaje nie zaspokojona. Ale prace w tym kierunku są wreszcie na ukończeniu, a przebieg ich był wcale interesujący.

Plan naukowy

Wydana przed laty praca zbiorowa p. t. „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku" ukazywała zestawieniami bibliograficznymi oraz wykresami luki, o wyraźnie zasadniczym znaczeniu w literaturze etnograficznej, dotyczącej Śląska. A że publikacje naukowe względnie ich brak są sprawdzianem dokonanych badań, więc wspomniane luki mówiły, ile jeszcze jest na tym polu do zrobienia. Jak w każdej dziedzinie, tak i tu istniała pewna hierarchia potrzeb, wysuwająca na czoło publikację o charakterze poglądowym, dającą pełny zarys kultury ludowej na Śląsku. Ponieważ zebrane i opublikowane materiały były niewystarczające, należało dokonać nowych systematycznych badań terenowych. Zadanie to przypuszczalnie nie przerastałoby sił jednego człowieka, ale miało między innymi tę słabą stronę, iż praktycznie odwlekało na lata moment ukazania się wspomnianej publikacji — co wobec aktualności potrzeby nie było wyjściem najwłaściwszym. W tej sytuacji grupa młodych etnografów wypracowała projekt badań zbiorowych, obejmujących całe ówczesne Województwo Śląskie łącznie z Zaolziem i Czadeckim. Projekt został zaaprobowany przez Polską Akademię Umiejętności (Komitet Wydawnictw Śląskich) a przyznane subwencje umożliwiły jego realizację.

Pierwsza wyprawa badawcza.

Latem 1939 r. wyjechała na teren ówczesnego Województwa Śląskiego 10-cio osobowa grupa badawcza, w skład której wchodzili: Gładyszowa, Klimaszewska, Kutrzebianka, Gładysz, Reifus, Stefan Stoiński, Szmek oraz piszący te słowa. Przeprowadzono badania w Miedźnej i Grzawie (pow. pszczyński), w Wiśle i Istebnej (pow. cieszyński), Łąkach (Zaolzie), Skalitym (Czadeckie), Olzie (pow. rybnicki), Dąbrówce Wielkiej (pow. katowicki) i Solarni (pow. lubliniecki). Miesiąc intensywnej pracy przyniósł obfity i ciekawy materiał w postaci notatek, rysunków i zdjęć fotograficznych, stwarzając nie tylko realne możliwości wydania zamierzonego Zarysu Śląskiej Kultury Ludowej, ale i wytyczne dla dalszych, bardziej szczegółowych poszukiwań, pogłębiających pewne wybrane zagadnienia.

Przebywając cały miesiąc w terenie, który graniczył z państwem niemieckim nie sposób było przeoczyć przygotowań obronnych, przecież ich rozmiar nie wydawał się świadczyć, by ówczesne nasze czynniki wojskowe liczyły się poważnie z rychłym wybuchem wojny. A jednak w dwa tygodnie po powrocie naszej grupy badawczej we wsiach, w których tak niedawno gawędzono o starym obyczaju trwały walki, a samych uczestników rozrzuciła wojna po całej Polsce. Tak się jednak złożyło po upływie pewnego czasu, iż większość nas znalazła się w Krakowie i tu podczas okupacji uczyniono dalszy krok ku realizacji planowanego wydawnictwa. Nie istniały wprawdzie żadne możliwości wydawnicze, ale można było popracować nad usystematyzowaniem zebranych materiałów i stopniowym przygotowaniem rękopisu. Pracę tę podjęto zbiorowo, to znaczy na zebraniach całej grupy odczytywano poszczególne fragmenty przyszłej pracy, opracowane indywidualnie, a następnie dyskutowano je zbiorowo, wprowadzając w razie potrzeby uzupełnienia i zmiany. W czasie tych wstępnych przygotowań zaznaczyła się dotkliwa luka: brak materiałów etnograficznych ze Śląska Opolskiego.

Przed rokiem 1939 Niemcy nie chcieli zgodzić się na przeprowadzanie przez Polaków jakichkolwiek badań na Śląsku Opolskim, nawet w archiwach i bibliote-

Modlitwa.

kach spotykali się nasi uczeni z trudnościami, do wykonywalisk w Opolu nawet ich dopuścić nie chciano. Nie można było również potrzebnych nam materiałów uzyskać z niemieckiej literatury etnograficznej, która bardzo wiele rzeczy przemilczała względnie zniekształcała. Wojna oczywiście nie przyniosła żadnych w tym kierunku ułatwień. Dopiero klęska Niemiec i przysunięcie się naszej granicy zachodniej stworzyło realne możliwości przeprowadzenia własnych badań naukowych na Śląsku Opolskim i Dolnym.

Etnografowie na Śląsku Opolskim

Tym razem nie długo bo niespełna w półtora roku po otworzeniu się możliwości badawczych, wyjeżdża na Śląsk Opolski 10-osobowa grupa zorganizowana przez Komisję Etnograficzną Instytutu Śl., przy poparciu Instytutu Badań Sztuki Ludowej w Warszawie. Większość grupy stanowią uczestnicy wyprawy poprzedniej z 1939 r., dzięki czemu zachowuje się ciągłość dokonywanych badań. W przeciwieństwie zaś do roku 1939 trasa podróży jest ledwie zarysowana. Nadawało to wyprawie znamię zwiadowcze, nieomal egzotyczne. Dopiero rozejrzenie się w terenie miało ostatecznie ustalić jej przebieg i wyselekcjonować punkty badań. Były oczywiście różne przypuszczenia, z których pewne potwierdziły się, ale zasadniczą orientację dawały wiadomości uzyskane w terenie. Ten elastyczny plan okazał się pasmem poszukiwań, a wybrane punkty były najciekawszymi jego węzłami, istniejącymi dziś, nienaruszonymi ani przez działania wojenne, ani wielkie przesunięcia ludnościowe, które po jej zakończeniu nastąpiły.

Gwoździany (pow. lubliniecki), Kocianowice (pow. kluczborski), Strzelce (pow. namysłowski), Dobrzyń Wielki (pow. opolski), Dzierżysław (pow. prudnicki), Sułków (pow. głubczycki) i Owsiszcze (pow. raciborski) — były to istne mateczki swojszczyzny opolskiej, w których godzinami wiodło się rozmowy o dawnym obyczaju.

Wyjeżdżając obawialiśmy się czy uda się w ogóle dotrzeć do człowieka, czy różnorodne opory nie pokrzyżują naszych usiłowań przeprowadzenia w szczerej rozmowie wywiadu etnograficznego. Boć powojenne czasy nie znamionuje wzrost ufności człowieka do człowieka. Trzeba przyznać, że zawsze znalazł się ktoś rozumiejący właściwy cel pracy, który wprowadzał nas w zaufanie kręgu starych mieszkańców dawnej wsi i to dawało niezawodne rezultaty. Rozładowania dalszych oporów w rodzaju — właściwej nieomal wszystkim włościanom — niechęci do wysuwania się pod jakimkolwiek względem, mówienia o sobie, chłodnej rezerwy w dyskusji o przywiarkach, magii, czy wierzeniach — tego dokonywaliśmy już sami, mając niejakie doświadczenie w prowadzeniu badań terenowych.

Badania etnograficzne wcale nie są łatwe, zwłaszcza w dziedzinie zwanej kulturą duchową. Wymagają obok doświadczenia sporego wysiłku psychicznego. Musi się rozmowę utrzymać w pewnej temperaturze skłonności do zwierzeń, a równocześnie podsycać umiejętnie zainteresowanie informatora, nie tracąc ani na moment z oczu właściwego celu. Trzeba umieć rozeznać kiedy zaślanianie się niepamięcią jest wybiegiem, a kiedy jest faktem rzeczywistym. Informatora nie wolno sugerować, przecież niejednokrotnie trzeba dopomagać jego pamięci i tu jest pole do rozwijania finezyjnych metod przypominania, które niejednkrotnie osiągają formę uwiedzenia pamięci pytanego.

Te niepowtarzalne, wartkie, pulsujące życiem dialogi, towarzyszące terenowym badaniom, to odrębna, na ogół nieznana dziedzina trudu naukowego.

Wywiad etnograficzny, jest jak się wyżej rzekło wyczerpujący. Choć zdarzają się wyjątki. Jeden z etnografów, przeprowadzający badania w Beskidach, był ogromnie zdziwiony natarczywymi zaprosinami swego informatora; by o nim nie zapomniał, by znów jutro przyszedł. I cóż się okazało. Oto ów góral - informator cierpiał na bezsenność i twierdził, że po dłuższej rozmowie z etnografem śpi mu się znakomicie. Trudno tu oczywiście przesądzać, której ze stron wywiad daje się bardziej we znaki. Normalnie wszyscy etnografowie znają znużenie informatorów, toteż z niekłamanym podziwem patrzyliśmy na niepozorną staruszkę z Kocianowic, która już chodzić nie mogła, ale w opowiadaniu zdała się być

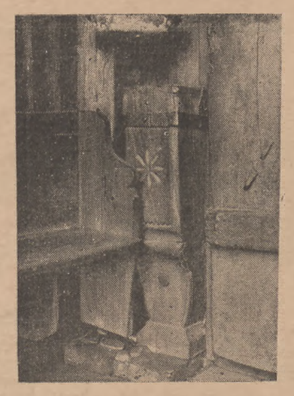

Drewniana skarbonka przy drzwiach kościoła z Zawady Książęcej, pow. raciborski. Zdobiny i okucia dzieła artystów ludowych na chwałę Bożą.

nieznużona. A ta jej cudowna pamięć — pojemna i świeża. Staruszka ta wybiegała ponad przeciętność, ale określenie przeciętność odnośnie tych bez mała dwóch setek informatorów naszej grupy, bynajmniej nie ma nic w sobie ujemnego. Wyjeżdżaliśmy z obawą o wynik spotkania z ludźmi Opolszczyzny, a wracaliśmy pełni radości, że było zgoła inaczej. I to właśnie im, Opolanom, zawdzięczamy udanie się naszej wyprawy.

Niepodobna podać jej szczegółowych wyników. Raz dla tego, że było się tylko jednym z dziesięciu przeprowadzających badania, a następnie dopiero uporządkowanie notatek i zestawienie z posiadanymi zorientuje dokładniej w ich charakterze. Właściwe wyniki ukażą się dopiero w zwierciadle wspomnianej publikacji. — Opierając się na wypowiedzach uczestników, zebrano wiele ciekawego materiału, kilkaset fotografii, rysunków i kilkadziesiąt objektów muzealnych.

Ogólnie mówiąc, zasięg grupy śląskiej nie uległ poważniejszym skurczeniom. Straty występują zwłaszcza na pograniczu, gdzie nie dość jasno zarysowana świadomość etniczna splątana z innymi przyczynami, na które wpływu nie mamy, jeszcze dziś granicę tę cofa. Wydaje się, iż między prawym a lewym Przyodrzem istnieją różnice w treściach kultury ludowej. Trudno jednak bez dokładnego prześledzenia zagadnienia stawiać jakiekolwiek przypuszczenia co do rozpiętości i charakteru tych różnic.

Monografia śląskiej kultury ludowej

Po ukończeniu wyprawy prace terenowe, a tym samym i pierwszy etap przygotowań do monografii śląskiej kultury ludowej jest już za nami. Jeszcze jakiś czas trzeba poświęcić uporządkowaniu notatek i będzie można przystąpić do pracy konstrukcyjnej.

Może kogoś zdziwi, że notatki tak długo trzeba porządkować, ale tak jest istotnie. Notatnik etnograficzny to bardzo dziwna książeczka. Ludzie wsi zdecydowanie nie lubią jak się zapisuje to co oni mówią. Często można słyszeć z ich ust obawę, że pewnie zapisuje się po to, by ich wyśmiać. W istocie obawy są różnej natury i bardziej niż ta poważne. A nie można zrezygnować z zapisywania ani nawet odkładać tego do ukończenia rozmowy. Bardzo bowiem ważne jest wierne notowanie bezpośrednich wypowiedzi. Dają one niezmiernie cenne, autentyczne sformułowania pewnych spraw, poglądów, naświetleń, których nie da się ani odtworzyć, ani opowiedzieć własnymi słowy. Etnograf musi notować, często w gorączkowym pośpiechu. Nie rzadko zaś przy rozmowie np. o magii, usłyszeć można jakiś interesujący szczegół np. z zakresu demonologii. Żaden z etnografów nie pomija takiej okazji by tego nie zanotować, choć w danej chwili prowadzi wywiad o czymś innym. Stąd etnograficzny notatnik to prawdziwy przysłowiowy „groch z kapustą", wobec czego zapiski muszą być przepisane i uporządkowane przed dalszą pracą.

Przypuszczalnie wiosną tego roku zacznie się druk zarysu śląskiej kultury ludowej. I tak zbiorowym wysiłkiem usunięta zostanie dotkliwa luka w całokształcie wiedzy o Śląsku.

Niektórzy z tej grupy etnografów już wcześniej zaznaczyli swe zainteresowania regionem śląskim. Wspomnę tu o pracach M. Gałdysza dotyczących sztuki ludowej, czy na kilka tomów obliczonym wydawnictwie Ligęza-Stoiński „Pieśni ludowe z polskiego Śląska". Praca etnograficzna w terenie bardzo zbliża ludzi do siebie. Gdy wspólnie ze śp. Stoińskim rozpoczynaliśmy wyjazdy celem zbierania śląskich pieśni ludowych, byliśmy dalekimi znajomymi. Po paru wyjazdach, różnych zabawnych przygodach, jakich nie brak etnografom, staliśmy się przyjaciółmi. Podobnie było i tu. Pierwsza wspólna wyprawa spowodowała wyraźne zwarcie się całej grupy. A po wojnie osiadli na Śląsku członkowie, utworzyli stałą placówkę: Komisję Etnograficzną przy Instytucie Śląskim.

Chciałbym jeszcze na zakończenie wrócić do tego o czym mówiłem na wstępie, do sprawy etnografów amatorów. Mówiłem tam o trudnościach z jakimi się spotykają. Nie chciałbym pozostawiać wrażenia, że sugerowała mną jakaś niechęć do nich i nieufność do ich poczynań, bo to mijało by się z przekonaniami większości etnografów. Amatorzy oddali etnografii wydatne przysługi jako kolekcjonerzy okazów czy zbieracze materiałów i podcinanie tej gałęzi zainteresowań byłoby niewłaściwe. Wprost przeciwnie, należy do tego ludzi zachęcać, a poczynania ich otaczać opieką. Niewątpliwie wydanie „Zarysu kultury ludowej na Śląsku wielu ludzi zachęci a wierzę, że i równocześnie ułatwi im pracę. Chciałbym tu z całym naciskiem podkreślić, że ukazanie się zarysu obejmującego całość kultury ludowej nie jest w żadnym wypadku zamknięciem badań. Wprost przeciwnie, jednym z zadań tej pracy jest dokonanie przeglądu i zorientowanie w zagadnieniach. To jest wstęp a nie zakończenie. I doprawdy uważalibyśmy się za szczęśliwych, gdyby ta zbiorowa praca stała się początkiem żywszego zainteresowania tradycyjną kulturą ludową.

Józef Ligęza.

Tydzień Wrocławia

9. III. — 16. III.

ŻYCIE LITERACKIE

13. III. odbył się 47-my Czwartek Literacki, na którym Jan Pierzchała wygłosił prelekcję pt. „Debiut poetycki Aleksandra Widery".

ŻYCIE NAUKOWE

10. III. IV posiedzenie naukowe Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Chemicznego z referatem prof. dr. J. Nikilborca pt. „Energia atomowa i jej wyzyskanie".

11. III. odbyło się zebranie Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, na którym prof. dr. Władysław Czapliński wygłosił odczyt pt. „Alerecht Stanisław Radziwiłł, pamiętnikarz XVII wieku. Jego osoba i dzieło".

13. III. posiedzenie naukowe Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Naukowego, Wydział I — filologii z odczytem prof. dr. Ryszarda Ganszyńca pt. „Krystalomancja".

16. III. — 23. III.

ŻYCIE TEATRALNE

17 III. Premiera sztuki Jerzego Szaniawskiego „Dwa Teatry" w reżyserii Marii Jabłonkówny. Obsada: Dyrektor Małego Zwierciadła — Marian Godlewski, Lizelotta — Janina Martynowska, Laura — Maria Naglerowa-Godlewska, Woźny — Mieczysław Ziobrowski, Chłopiec z deszczu — Bogusław Kozak, Autor — Janusz Tkański, Montek — Zenon Burzyński, Matka — Irena Netto, Pani — Stefania Waldenowa, Leśniczy — Janusz Grot, Żona — Ida Nowinówna, Andrzej — Marian Nowicki, Anna — Halina Świątek-Dzieduszycka, Ojciec — Antoni Odrowąż. Oprawa sceniczna: Jędrzejowski, Lange, Przeradzka. Opracowanie muzyczne: Wiesław Lange.

ŻYCIE LITERACKIE

20. III. 48-my „czwartek literacki" poświęcony twórczości młodych prozaików wrocławskich. Wystąpili: Tytus Karpowicz, Jerzy Cieślikowski, Romuald Cabaj, Hubert Drapella.

22. III. Wieczór autorski Józefa Nachta-Prutkowskiego, urządzony staraniem Dolnośląskiego Oddziału Związku Dziennikarzy.

ŻYCIE NAUKOWE

21. III. 30-te posiedzenie naukowe Wrocławskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego z referatem mgr. Romana Ingardena.

Ukraińcy, Litwini i Łotysze w Niemczech

Jak interesujemy się tym, co robią Niemcy, tak winniśmy się interesować także poczynaniami emigracji politycznej, przebywającej na terenie Niemiec, a zwłaszcza emigracji litewskiej, łotewskiej i ukraińskiej. Wiadomo, że na terenie Niemiec emigracja ta składa się przeważnie z b. SS-manów. Tym bardziej nieprzyjemnego posmaku nabiera tedy cytowane poniżej zdanie ukraińskiego dziennika „Czas", zarzucające nam, że wydaliśmy najwięcej Volskdeutschów. I kto nam rzuca tę obelgę w twarz? Pismo, którego redakcja składa się przeważnie z b. żołnierzy dywizji SS-Galizien. Wiadomo, że Anglosasi starają się wygrać tę emigrację przeciwko pokojowi Europy. Skądby się bowiem brała u nich ta dbałość o nią, której głównym dowodem jest Uniwersyt Bałtycki w Hamburgu, gdzie wykłada się po litewsku, łotewsku i estońsku. Ten nowy nasz przegląd prasy nie powinien pozwolić nam zapomnieć, że na terenie Niemiec żyją i działają antypolsko nastawione ośrodki ukraińskie, litewskie i łotewskie.

PRASA UKRAIŃSKA

„Ukr. Trybuna" zamieszcza artykuł Z. Peleńskiego pt. „Czemu nie mamy przyjaciół?" i pisze: „To, co stosuje się do naszych stosunków wewnętrznych ma swój odpowiednik i w stosunkach zewnętrznych. Tak, jak między sobą nie umiemy sobie zyskiwać przyjaciół, tak samo i na zewnątrz. Czemu nie mamy przyjaciół na świecie poza Ukrainą? Nie oszukujmy siebie. My ich nie mamy. O jakim narodzie możemy z całą pewnością powiedzieć, że są naszymi przyjaciółmi i wiernymi sojusznikami? O jakim mężu stanu wielkiego mocarstwa możemy powiedzieć, że jest on szczerym obrońcą naszych spraw? Nie mamy przyjaciół, gdyż nigdy o to nie dbaliśmy. Musimy wyjść z naszego ghetta i zdobywać dla nas sympatie. Świata nie zdobywa się jedynie siłą, nienawiścią i fizycznym opanowaniem. Nie mniej potężne i zawsze trwalsze jest opanowanie dokonane przy pomocy serca, przyjaźni, dobroci i życzliwości. Musimy nauczyć się władać i tą bronią."

*

Ukraińska prasa w Kanadzie podaje, że w transporcie żołnierzy armii gen. Andersa, jaki niedawno przybył do Kanady, przybyła również niewielka ilość Ukraińców. Są to ci Ukraińcy, których los dobrowolnie lub niedobrowolnie popchnął w szeregi polskiej armii do walki pod obcymi sztandarami pod Tobrukiem, Monte Casino itd.

(Ukr. Trybuna)

*

„Czas" w obszernym artykule omawia wydawnictwo: „Wspomnienia z niemieckich obozów koncentracyjnych." Praca zbiorowa jest napisana przez b. więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych. Ebensee 1946. Ośrodek polski b. więźniów o. k. Camp 400 Górna Austria.

Książka ta rzekomo została wydana przez b. więźniów Polaków i Żydów i zawiera mnóstwo akcentów antyukraińskich. Pismo obszernie je cytuje, polemizuje z nimi, czyni zarzut, że żaden naród nie wydał tylu volksdeutschów, co Polacy.

*

„Nedilia" donosi, że Związek ukraińskich dziennikarzy w Regensburgu nawiązał kontakt z miejscowymi niemieckimi kołami pisarzy i dziennikarzy i zorganizował parę wspólnych ukraińsko-niemieckich wieczorów literackich.

„Ukraiński Wisti" zamieszczają obszerną odezwę koordynacyjnego ukraińskiego komitetu (tzw. KUK) w sprawie rozłamu wśród Ukraińców powstałego ostatnio na tle wyznaniowym. Odezwa wskazuje, że obca ręka dąży do wywołania rozłamu i dodaje, że „dokładne zbadanie kwestii daje niezaprzeczalne dowody, iż dotychczasowa akcja jest jedynie początkiem szerokiego planu zmierzającego do zniszczenia ukraińskiej emigracji."

*

Tygodnik ukraiński „Nedila" ukazujący się w Aschaffenburgu wprowadził szpaltę białoruską.

PRASA LITEWSKA

Przy Litewskim Naczelnym Komitecie istnieje, Najwyższy Sąd Litewskich Uchodźców, który ostatnio z polecenia tegoż komitetu, rozstrzygnął zasadnicze zagadnienie, czy sądy litewskie na uchodźstwie mogą udzielać rozwodów i wydał orzeczenie negatywne.

*

16 lutego, jako w dniu litewskiego święta narodowego rozgłośnia w Stuttgarcie nadała koncert litewskiego chóru.

*

Litewskie organizacje w Niemczech zorganizowały konkurs literacki. Pierwszą nagrodę otrzymali poeta Bernard Brazdzionis za tomik poezji „Oboe Gory" i Nyka-Wyliunas za „Symfonię Utraty".

*

Litewska gazeta „Musu praneśimai" podaje, że prezes Organizacji Litwinów Amerykańskich, udał się na Alaskę celem zbadania warunków osiedlenia. Stwierdził on, że o ile w północnej Alasce warunki klimatyczne są bardzo nie zachęcające, o tyle południowa część kraju pod względem klimatycznym znacznie lepiej się nadaje do osiedlenia, niż południowa Ameryka.

*

PRASA ŁOTEWSKA

„Tevzeme" w artykule „Plany na przyszłość wysuwa całkiem nową koncepcję nie dążenia do żadnej emigracji, lecz pozostania w Niemczech. Autor uważa, że przesiedlenie do jakiegoś kraju w zwartej masie i stworzenia jakby państwa w państwie na warunkach, że w razie zmian politycznych w Europie wszyscy emigranci opuszczą skolonizowany teren i powrócą do swego kraju — jest absolutnie nie do przyjęcia dla państwa imigracyjnego. Żadne państwo na to się nie zgodzi i nie można na to liczyć. Emigracja indywidualna, względnie rozproszenie w małych grupach po świecie doprowadziłoby do szybkiego wynarodowienia i całkowitej zatraty całej masy emigracyjnej dla narodu. Zdaniem autora najlepszym wyjściem byłoby pozostanie w Niemczech, gdyż w każdym kraju obcy są eksploatowani przez naród rządzący krajem, a jedynie w Niemczech, będących pod obcą okupacją, można liczyć na poparcie władz. Wydaje się, że sytuacja ekonomiczna będzie się poprawiać i problem zatrudnienia nie będzie tak skomplikowany jak dzisiaj. Co się tyczy ułożenia stosunków z Niemcami, to nie raz się słyszy od Niemców, że z pośród uchodźców mogliby oni znaleźć wspólny język jedynie z Łotyszami i Estończykami. A zresztą w jakim kraju nie ma nastawienia przeciw cudzoziemcom i gdzie będziemy lepiej rozumiani? W Anglii, Francji, Ameryce? Wreszcie autor odpiera zarzuty, że pozostając na miejscu uchodźcy mogą zginąć w katakliźmie ew. wojny, uważając te hipotezy za niepoważne.

Ste.

Godziny szczęśliwe Wybickiego

(Dokończenie ze str. 1)

I tu „ociec do swych dzieci" mówi. Mówi mianowicie:

...wy mnie w dnia biegu szczęśliwe dajecie godziny, wy sen spokojny na przyjście nocy gotujecie. Dla was z utęsknieniem na wschód słońca czekam...

Tak dalece zawód pedagoga, z zamiłowaniem wówczas podjęty, kształtuje wszystko, cokolwiek Wybicki pisze we Wrocławiu. Ustąpiwszy z życia czynnego, podejmuje teraz próbę uporządkowania własnej filozofii, bodaj na marginesie przeczytanych książek.

Lata i zajęcia są spokojne, sprzyjają wspomnieniom i gawędzie. Z którejś godziny wieczornej, tocznej samotrzeć z synami, powstał zamiar spisania pamiętnika z całego życia. Dokumenty biograficzne i ogólne, gromadzone w tym celu już w r. 1801, stanowią jego podstawę źródłową. Wybicki chce objaśnić synom, jakie drogi prowadziły go patetycznie „na śmierć i wygnanie". Z tej rodzinnej podniety, pragnąc rozdawać rady i przestrogi, Wybicki uczynił z własnego życia przykład moralny. Pamiętnik również, przeznaczony dla synów, gdy dorosną, jest narzędziem pedagogii, której służy wszystko w tym okresie. Część pierwsza dzieła „Życie moje", opowieść o latach 1747 — 1780 w biografii Wybickiego, prowadzona niezadługo w Dreźnie, powstała we Wrocławiu, na uboczu historii.

Wszystkie te prace i zachody wiążą Wybickiego z oficyną Kornów. Na czele firmy księgarskiej stoi podówczas Jan Bogumił Korn, ale żyje jeszcze stary Wilhelm Bogumił, za młodości bywalec warszawski, oddany na naukę zawodu do Michała Groella, drukarza Króla Jegomości. Wybicki w oczach Korna musiał wyglądać, jak żywe świadectwo z dziejów dawnej Rzeczypospolitej. Jego nauki, znoszony po rzymsku niedostatek, rękopisy podręczników szkolnych, które narastają łatwo i rokują dobry zbyt księgarski — wszystko to czyni z Wybickiego pożądanego klienta domu. W miarę jak książki dydaktyczne rozchodzą się po Polsce, nie zalegając długo półek, przyjaźń dla cnotliwego wygnańca wzmaga się i rośnie. Kornowie lubią druki o dużych nakładach, wyraźnym przeznaczeniu, łatwym obrocie. Interesy firmy nie sprzeciwiają się zażyłości z Wybickim. Z drugiej notatki pamiętnikarskiej Jana Bogumiła Korna wolno wnosić, że Wybicki należy do zespołu stałych pracowników wydawnictwa (vermehrte meine Unternehmungen), mianowicie do działu nakładów polskich, prawdopodobnie jako ich redaktor czy korektor przekładów. Tak wiąże Wybickiego z Wrocławiem szkoła jego synów i dom wydawniczy Kornów, ruchliwy i sławny, żywo pracujący w tych latach czcionką polską.

„Godziny szczęśliwe" przesypują się zbyt szybko. Młodzi Wybiccy, zdaniem czujnego ojca, wyczerpali wszelkie możliwości nauki, jakie dawał im Wrocław. Mimo to chciał ich, mentor pełen troski, zatrzymać „dwa lata jeszcze w akademiach niemieckich". Gdzież zatem? Wybicki snuje plany na dłuższą metę, bo czasy wydają się spokojniejsze. Więc z Wrocławia ruszyć do Drezna. To dla Europy drugi Paryż „co do sztuk pięknych i nabycia wszelkich umiejętności". Trzeba tylko przedłożyć te zamysły ministrowi Hoymowi i uzyskać jego zgodę na wyjazd. Hoym jest niezawodny, ciągle „zachował serce człowieka czułego". Dnia 18 Augusta (sierpnia) r. 1804 wystawił Wybickim paszport z Wrocławia na Drezno. Można troczyć bagaże.

Drogę z Wrocławia do Drezna pragną odbyć Wybiccy w sposób mało banalny. Rzeczy, co cięższe, zabiera furman zwykłą pocztą. Nie utrudził się przy tym wiele. Dziwacy podróżni cnią ruszyć „w postaci wędrowników literackich, pieszo". W pedagogii Wybickiego podróż posiada miejsce osobne. Jest wówczas „szkołą bardzo użyteczną". Gdy akademie zamykają się na wakacje, gdy nauczyciele kończą wykłady, nad chodzi miesiąc letni, by popatrzeć „na odwieczne dzieła natury i na czasowe dzieła człowieka". Chłopcy są radzi tej przechadzce, mogą uczyć się teraz trochę inaczej. Już gotowe trzy mantelzaki. W nich materiały piśmienne, niektóre książki, krzesiwko i owe kwasy saletrzane dla doświadczeń. Czegoż uczyć się w drodze? Ojciec objaśnia: geografii, mineralogii, historii naturalnej, obyczajów... A nade wszystko architektury krajowej. Wybicki mówi długim zdaniem:

...a chiwi uczynić przysługę młodszym od was współrodakom, zbierać będziecie troskliwie od Wrocławia zacząwszy, prawidła i plany do tej części Architektury ściągające się, abyście je z czasem z całej waszej podróży zebrane, oddać im mogli w ofierze.

Chłopcy czują się stropieni.

Jeszcze tylko należy „uwiadomić szanowną i cnotliwą żonę i matkę". Zapewnić sobie korespondencję z domem wydawniczym Kornów, którzy muszą na podobną wyprawę spoglądać ze zdziwioną powagą, jak na eksperyment pedagogii nowożytnej.

Droga wiedzie przez Góry Olbrzymie, zbacza na Czechy, do Saksonii. Mierzy ten szlak „sto mil blisko". Przez same góry poprowadzi grupę ugodzony przewodnik, który poniesie „razem na sobie nasze bielizny". Pedantyczny opis tej podróży wraz z mapą terenu, rysunkami, kolekcja kamieni — wszystko to zaginęło dla historyka.

W Dreźnie, „u jednego z przekupniów legumin", z synami, którzy uczyli się najpilniej, na mizernym stole, chciał Wybicki z uporem nie dać zagarnąć się nowej wojnie.

Za trzy złote polskie zgodziłem obiad na trzy osoby, bez chleba i napoju, którym była woda.

Wówczas księżna Czartoryska i grafowa Moszyńska, gdy rozpoczęły raz kobiecy „dyskurs o drogości i niedostatku", dowiedziały się od Wybickiego o tym sławnym obiedzie „za groszy 12 saskich". Nie uwierzyły.

— Jako, jako — wrzasły — obiad na trzech za...

Ale do Berlina nadciągał Napoleon i jednym słowem cesarskim wydobył Józefa Wybickiego od handlarza legumin w Dreźnie, ubogiego Sasa.

Tadeusz Mikulski.

Dwie premiery

„Komedii Muzycznej" w Szczecinie

W teatrze „Komedii Muzycznej" wystawiono ostatnio utwór Pagnola pt. *„Mariusz"*. Jako sztuka „morska", posiada ona pewną aktualność w Szczecinie, tym bardziej, że po dość długim okresie jeszcze bardziej banalnych i płytkich sztuk, wystawianych przez ten teatr, wniosła rzeczywiście pewne ożywienie do repertuaru. Natomiast jako dzieło sztuki nie posiada zwartości scenicznej, jest raczej opowieścią, aniżeli dramatem par excellance. Wady kompozycyjne „Mariusza" uwidocznił zresztą charakterystyczny przypadek, który wydarzył się podczas jednego z popołudniowych przedstawień. Oto z powodu godzinnego niemal spóźnienia jednego z aktorów, reżyser zmuszony był, chcąc dać drugie wieczorowe przedstawienie, *skrócić pięcioaktową* sztukę do *trzyaktowej*. Gdyby nie to, że afisze zapowiedziały sztukę Pagnola jako pięcioaktową, nie wielu z publiczności domyśliłoby się, że dokonano tu zasadniczych skrótów, jednak *bez istotnej szkody* dla samego przedstawienia. A przecież dwa akty, to nie bagatela, właśnie w utworze scenicznym, w którym najłatwiej demaskuje się zła budowa czy niezbędność pewnych zasadniczych elementów sztuki. To przypadkowe wydarzenie „zdemaskowało" jednocześnie wielką zaradność, a zarazem brak wysiłku reżyserskiego ze strony *p. Karczewskiego*, który tę sztukę reżyserował. Było by rzeczą zbyt banalną mówić o tym, czego wymaga się od reżysera. W tym wypadku, nawiązując do owego przypadkowego wydarzenia ze skróceniem sztuki należy tylko wspomnieć, że p. Karczewskiemu jako reżyserowi sztuka ta nie zupełnie się udała, natomiast udała mu się jako aktorowi rola Cezarego, którą zagrał inteligentnie, z dużym wyczuciem plastyki scenicznej. P. *Śliwiński* w roli Mariusza zawiódł publiczność, która od tego zdolnego aktora oczekiwała czegoś więcej niż przeciętności. Jego Mariusz nie miał przekonywującej siły wyrazu, ani tej istotnej i doskonale nadającej się do wygrania dramatyczności, jaką nastręczała walka między miłością do dziewczyny, a ukochaniem morza. Na uwagę zasługiwały kreacje *p. Daszewskiego* jako Panisa oraz *p. Czosnowskiej* jako Fanny. O ile jednak rola Fanny była jakby przedłużeniem tych kreacji p. Czosnowskiej, które widzieliśmy już do syta w różnych „Gałgankach" czy „Rozkosznych dziewczynach", o tyle kreacja p. Daszewskiego wykazała zdolność tego aktora do nowego podejścia w opracowaniu innej roli niż te, które nam dotychczas pokazał. *P. Rajkowska* była trochę nużąca i jednostajna jako Honoryna. Wystąpienie *p. Liberdy* było niedopatrzeniem reżysera. Rozwiązanie dekoracyjne fatalne.

Drugą premierą, której warto poświęcić parę uwag, jest wystawienie *„Panny Maliczewskiej"*. Wydaje się, jakby Dyrekcja „Komedii Muzycznej" zaczynała się poważniej zastanawiać nad repertuarem, dając wreszcie trzecią sztukę polską. W ogólnym bilansie *8 dotychczas wystawionych sztuk* jest to jeszcze procent zbyt mały, niemniej jednak ten postęp notujemy z satysfakcją.

Z zespołu aktorskiego, grającego „Pannę Maliczewską" wyróżnić należy przede wszystkim *p. Daszewskiego* jako Dauma oraz *p. Rajkowską* jako Żelazną, którzy stworzyli wyraziste i plastyczne postacie. P. Rajkowska zagrała swoją rolę z wielką naturalnością i wypracowaniem szczegółów, wyzbywając się pewnej skeczowej przesady i jednostajności, jaka ją poprzednio cechowała. Poza tym pokazano nam kilku dobrych aktorów w rolach epizodycznych. Takim był przede wszystkim *p. Rybicki* jako Filo oraz *p. Krzanowski*. Rolę tytułową zagrała *p. Zarembianka* w sposób dosyć nierówny. Pewną sztywność poruszania się na scenie w pierwszym zwłaszcza akcie wyrównała w ostatnim w zadawalający sposób. Spartaczył rolę od początku do końca jedynie *p. Liberda* jako Edek. Reszta postaci przeciętna. Reżyseria *p. Karczewskiego* nie wykraczała poza poprawność, mimo niewątpliwie dużego wysiłku, aby wystawić Zapolską tak, jak to czynić należy.

Stanisław Telega.

Z wielkiej chmury... mały deszcz

Bolączką życia kulturalnego na Pomorzu Zachodnim jest brak przemyślanego planu kulturalnego, według którego mogłoby się rozwijać życie artystyczne i intelektualne. Jeszcze chodzimy luzem i jeszcze, na wielu odcinkach, drepczemy w miejscu. Nie może się uporać z trudnościami materialnymi Klub Literacko-Artystyczny, bo nikt nie chce mu na serio pomóc, to znowu od przypadku do przypadku regulują swój repertuar „Komedia Muzyczna", a ostatnio i Teatr Miejski w Słupsku. Nie mamy ustalonej hierarchii najpilniejszych zadań, nie mamy zharmonizowania poszczególnych wysiłków, a przede wszystkim kogoś, kto by z racji swego urzędowego stanowiska umiał nadać tym ważnym sprawom większy rozmach. Najgorszą zaś rzeczą jest dziwny stosunek pewnych kół nawet urzędowych do śmielszej i nazywającej rzeczy po imieniu krytyki. Do spraw szczecińskich można z powodzeniem dostosować odważne słowa J. Kotta, umieszczone w jego ostatniej książce „Po prostu". Panuje u nas — pisze J. Kott — niestety przekonanie, że wszelka krytyka jest niedopuszczalna, że o administracji państwowej nie wolno pisać inaczej niż w tonie entuzjazmu i zachwytu. Jest to zwykła nieprawda. Demokracja polska jest dostatecznie silna, aby zniosła każdą rzeczową i uczciwą krytykę... Musimy wszyscy wydać stanowczą i bezwzględną walkę owej zadowolonej i rumianej „urzędowej rzeczywistości", jaka na łamach prasy i biurkach referentów zasłania prawdziwą i rzetelną wiedzę o tym, co się w Polsce dzieje." Niestety, na wielu odcinkach każde śmielsze spojrzenie na „urzędową rzeczywistość" wywołuje tysiące podejrzeń i oskarżeń, graniczących ze śmiesznością.

Potwierdziła to wyraźnie m. in. konferencja, zwołana w sprawach teatralnych z początkiem marca w Szczecinie. Myśl takiej konferencji powitało wiele osób z wielkim zadowoleniem, spodziewając się po niej jakichś konkretnych wyników. Dyskusja toczyła się przez pewien czas w atmosferze, nacechowanej troską o sprawy teatralne. Niestety, dyskusja w pewnym momencie zeszła szybko na peryferie problemu, kiedy jeden z młodych dziennikarzy sprowadził ją na poziom słynnego „Sądu nad Przeprowadzką". Może dlatego, że był to właśnie jeden z byłych sędziów „Przeprowadzki" — rzecz charakterystyczna — oskarżył tym razem Zapolską za „Ich czworo" o „amoralność". Przewodniczący zebrania, uważając widocznie ten występ za jeszcze jedną nieudaną „fraszkę" owego dziennikarza, nie udzielał już głosu nawet bezpośrednio zaatakowanym i pragnącym odpowiedzieć na zaplątane w sprzeczności i często naiwne „wywody". W rezultacie konferencja nie przyniosła żadnych rozstrzygnięć, a nawet nie pozostawiła złudzenia celowości. Co gorsza zaś, że „zatrutej atmosfery" nie tylko nie oczyściła, ale ją jeszcze bardziej zatruła. A szkoda. Dyskusja w sprawach teatralnych jest w Szczecinie bardzo potrzebna, ale nie na poziomie „urzędowej rzeczywistości", a conajmniej przy zachowaniu pewnych kardynalnych zasad przyzwoitości.

S. T.

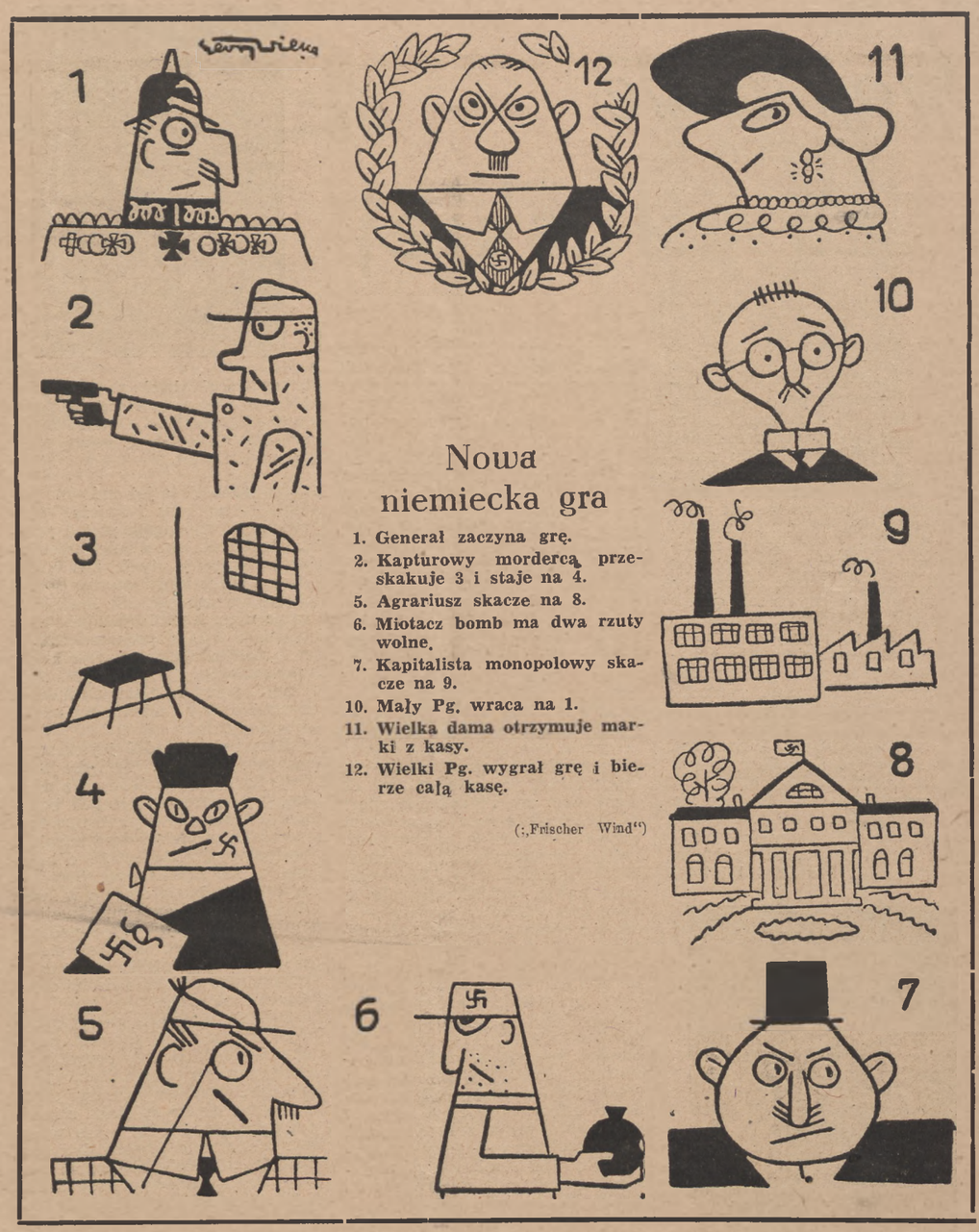

Nowa niemiecka gra

1. **Generał zaczyna grę.**
2. **Kapturowy mordercą przeskakuje 3 i staje na 4.**
5. **Agrariusz skacze na 8.**
6. **Miotacz bomb ma dwa rzuty wolne.**
7. **Kapitalista monopolowy skacze na 9.**
10. **Mały Pg. wraca na 1.**
11. **Wielka dama otrzymuje marki z kasy.**
12. **Wielki Pg. wygrał grę i bierze całą kasę.**

(„Frischer Wind")

Zawracanie głowy

Istnieje na Pomorzu Zachodnim miłe miasteczko, liczące ponad 30 tysięcy mieszkańców i wykazujące duże aspiracje kulturalne. Jest nim Słupsk, leżący we wschodniej części naszego województwa. Miasteczko owo zdobyło się już od dawna na Tow. Naukowe, a ogłoszony obecnie plan pracy na okres najbliższych miesięcy oraz środki materialne, którymi to Towarzystwo rozporządza, świadczą dobrze o ruchliwości i wielkiej ambicji jego zarządu.

Do listopada ub. r. posiadał Słupsk mimo doskonałych warunków technicznych, tylko teatr amatorski. Nic też dziwnego, że pomyślano tam od dawna o zamienieniu go na teatr zawodowy. Teatr jednak zawodowy to instytucja bardzo kosztowna i wymagająca wielkiego wysiłku zarówno artystycznego jak i materialnego, przede wszystkim zaś dobrej woli i pomocy ze strony czynników urzędowych. Niestety jednak, w wypadku teatru słupskiego jesteśmy świadkami conajmniej dziwnych wydarzeń.

Oto już w sierpniu ub. r. kierownictwo tego teatru złożyło podanie z prośbą o licencję najpierw do Woj. Urzędu Kultury i Sztuki w Szczecinie, a we wrześniu ub. r. do Departamentu Teatru w Warszawie. Woj. Urząd Kultury i Sztuki ingerował dwukrotnie w tej sprawie, prosząc o jej przyspieszenie, popierał sprawę i Wojewoda, nie chcąc zostawić Słupska bez teatru, zaś Zarząd Miejski Słupska zawarł tymczasową umowę z kierownictwem teatru pod dyr. p. Jurdzińskiej. Jednak dopiero w grudniu, już po trzech premierach, przyszła odpowiedź z Departamentu Teatru, polecająca skierowanie podania o licencję... do Woj. Urzędu Kultury i Sztuki w Szczecinie. Widocznie o poprzednich pismach zapomniano. Teatr słupski musiał więc ponowić „kołomyjkę" prawną od początku. Ale cierpliwość jest większa niż siła, jak mówi przysłowie francuskie. Teatr grał dalej, dając niemal co dziesięć dni nową premierę i wystawiając takie sztuki jak „Damy i huzary", „Ich czworo" czy „Skąpiec". Do dnia jednak dzisiejszego Teatr Miejski w Słupsku nie otrzymał jeszcze licencji na wniesione w sierpniu ub. r. podanie. Czy pięć miesięcy cierpliwego czekania na decyzję Ministerstwa nie jest trochę za długo? Czy ta papierkowa robota wymaga aż tak długich debat w Ministerstwie Kultury i Sztuki? Czy aktorzy zawodowi mogą spokojnie i wydatnie pracować w instytucji, która nie ma mocy prawnej? Czy można preliminować budżet lub zawierać umowy z aktorami bez obawy, że pewnego dnia wszyscy pójdą na bruk?

Gdyby przynajmniej teatr kosztował duże sumy, to możnaby się spierać nad celowością jego utrzymania. Fakty jednak mówią co innego. Województwo szczecińskie dało na ten teatr w ciągu pięciu miesięcy jednorazowo... 60.000 zł., a piękne miasto Słupsk również jednorazowo aż... 50.000 zł. W porównaniu z milionowymi dotacjami na inne teatry jest to suma wyjątkowo śmieszna. Należy więc zająć stanowisko. Albo zlikwidować teatr i nie zawracać głowy aktorom, albo zająć się tą sprawą na serio. W przeciwnym razie może się ona zamienić, delikatnie mówiąc, w historię z nieprawdziwego zdarzenia.

S. T.

Kronika teatralna Olsztyna

Po sztuce Zapolskiej i Niewiarowicza Teatr Miejski im. Jaracza wystawił komedię w 4 aktach Wł. Perzyńskiego pt. *„Lekkomyślna siostra"*. Jakkolwiek jest to znów któraś już z rzędu komedia i znowu oparta na perypetiach środowiska mieszczańskiego, tym niemniej jest to sztuka dająca widzowi dużo do myślenia. Stawia mu ona przed oczy całą zgniliznę i nicość moralną tego środowiska, które hołduje przede wszystkim sprawie materialnej, zaprzepaszczając podstawowe wartości etyczne człowieczeństwa. Wobec dotychczasowych płycizn oglądanych w Olsztynie, sztuka ta daje widzowi nowy aspekt wychowawczy i dlatego tego rodzaju repertuar winien być utrzymany przez ludzi odpowiedzialnych w zakresie polityki repertuarowej Teatru im. Jaracza. Przedstawienie *„Lekkomyślnej siostry"* było klasycznym dowodem, że zespół teatralny w Olsztynie stać na rzeczy naprawdę dobre, na reprezentowanie pewnej skali wychowawczej w stosunku do publiczności. Boć sztuka ta jest głęboką satyrą na system gospodarczy, który już należy w chwili obecnej do historii.

Teatr Miejski im. Jaracza zadokumentował tym wystąpieniem swą pozytywną wartość, jaką przedstawia jako placówka kulturalna. Warto przeto przyklasnąć temu osiągnięciu i życzyć, by nadal repertuar był dobierany w ten sposób i aby przede wszystkim nie schlebiał publiczności olsztyńskiej — ale wprost przeciwnie, wychowywał tę publiczność w najszerszym tego słowa znaczeniu. Należy przeto wyrazić nadzieję, że po tej linii pójdzie dyrekcja teatru, sięgając nie tylko do widza przygodnego, ale także do młodzieży szkolnej i stowarzyszeń życia zbiorowego.

„GAŁGANEK" ZNOWU NA WIDOWNI

Wystawienie *„Gałganka"* Niccodemiego przez Teatr Młodych im. M. Kajki, nasuwa smutne refleksje po wyczynach teatru „Komedia Muzyczna" w Szczecinie. Mamy bowiem jeszcze zbyt świeżo w pamięci skandal szczeciński, aby przyjąć tę sztukę z entuzjazmem. W Olsztynie nadano jej zgoła inny tytuł na afiszu. „Gałganka" zmieniono na *„Świderek"*.

„Świderkowi" w zakresie wystawy pomógł bez mała cały Olsztyn. Świadczy to naturalnie, że losy tego teatru nie są obce społeczeństwu. Ze względu na trzy zmiany dekoracji, blisko dwadzieścia kilka osób i instytucji wypożyczyło niezbędne rekwizyty oraz pewną sumę pieniędzy na polepszenie warunków technicznych salki teatralnej, w której odbywają się przedstawienia. W sztuce tej bierze udział 8 osób, z czego jedna tylko siła zawodowa, a mianowicie *St. Igar*, kierownik zespołu i reżyser w jednej osobie. Naturalnie innymi oczyma patrzeć na wyniki i osiągnięcia Teatru Młodych. Ambitną i upartą pracą zespół ten osiągnie niewątpliwie sprawność i dojrzałość teatru zawodowego. Artyści Teatru Młodych pracują bezinteresownie. Mając na uwadze, że naprawdę pracują oni ideowo i z dużym oddaniem — żal, że repertuar nie zezwala im na wyjście z szranek banału i wypłynięcia na wody głębszej problematyki z myślą o społecznej roli teatru. Dlatego pilnie będziemy obserwować dalsze kroki tego zespołu. *„Gałganek"* czy *„Świderek"* zrobi z pewnością dobrą kasę, a artyści osiągną w międzyczasie pewną rutynę, gdyż będzie to już trzeci spektakl od chwili powstania Teatru Młodych. Wypłyną czy nie wypłyną na szersze wody, oto zasadnicze pytanie, które nas trapi. Zależeć to będzie naturalnie nie tylko od zespołu — ale także i przede wszystkim od tych, którzy poczynaniom Teatru Młodych patronują.

ZESPOŁY AMATORSKIE TEŻ RUSZAJĄ...

W połowie lutego odbyły się na deskach Teatru im. Jaracza publiczne popisy zespołów amatorskich z terenu woj. olsztyńskiego o palmę pierwszeństwa.

Zarówno zespół z Iławy jak i z Morąga zdobyły zasłużone uznanie w sądzie konkursowym, demonstrując zadawalający poziom. Zasadnicze znaczenie tego konkursu natomiast jest inne. Chodzi o to, aby zbudzić uśpioną prowincję małomiasteczkową na Warmii i Pojezierzu mazurskim i wzniecić w niej zainteresowanie dla spraw sztuki scenicznej. Chodzi też między innymi i o torowanie dróg dla zespołów poważnych jak np. dla Teatru im. Jaracza oraz Teatru z Olsztyna, z chwilą gdy zawitają do tych miast powiatowych z sztukami o pewnej skali artystycznej oraz o pewnej problematyce wychowawczej. Nie należy bowiem dopuścić do tego, aby gust publiczności małych miast był urabiany tylko przez bardziej lub mniej dobre seanse kinowe.

(j. ant.)

Katowicka orkiestra symfoniczna Polskiego Radia

Witold Kałka-Rowicki, młody utalentowany dyrygent i kompozytor, organizator katowickiej orkiestry symfonicznej Polskiego Radia.

W marcu br. upłynęło dwa lata od chwili, gdy kilkunastoosobowy zalążek dzisiejszej orkiestry symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach stanął przed mikrofonami, by dać z nowo-uruchomionej rozgłośni swój pierwszy koncert. Trudne to były początki. Nieuregulowane i bardzo skromne pobory, trudności mieszkaniowe (muzycy i literaci mieli je tutaj dziwnym zbiegiem okoliczności już od marca 1945), jeszcze większe trudności aprowizacyjne. A przytem większość muzyków przybywała z Krakowa, gdzie miała już jakie takie oparcie. Dobra wola i ofiarność zespołu, niestrudzone zabiegi organizatorów orkiestry, Kałki-Rowickiego i Wł. Ormickiego, wytrwałość i upór doprowadziły jednak do tego, że zespół rósł z tygodnia na tydzień, dochodząc po roku do 50 ludzi i zdobywając sobie wkrótce opinię nie tylko najlepszej orkiestry radiowej w Polsce, ale i walcząc z powodzeniem o tytuł najlepszej orkiestry symfonicznej w ogóle. Znają tę orkiestrę liczni bywalcy koncertów w studio, znają ją i słuchacze. Jest ona chlubą katowickiej rozgłośni, która zresztą już ją właściwie straciła, gdyż organizacyjnie orkiestra zależna jest obecnie wprost od Warszawy i wyłączona jest spod kompetencji kierownictwa programowego rozgłośni w Katowicach, któremu jest niepotrzebna i któremu wyraźnie przeszkadza w „pracy". Toteż coraz częściej mówi się o przeniesieniu orkiestry do Warszawy czy do Wrocławia. Gdyby to nastąpiło, Katowice utraciłyby na antenie najwartościowszą dotychczas pozycję programową. Pozostałaby nam tylko inna „reprezentacyjna" audycja: „Przy sobocie po robocie" w „opracowaniu" Karlika z Kocyndra i Piotra Dziemby. (ki)

Wśród czasopism

Opuszczonemu przez „Odrodzenie" Krakowowi pozostała *„Twórczość"*, miesięcznik poważny i dostojny, harmonizujący przez to trochę z nastrojem miasta, które go wydaje, ale na szczęście bez nieprzyjemnych cech tej krakowskiej dostojności, niezmiennie interesujący i bogaty w treść. Trochę już przyzwyczailiśmy się do tego stylu, w jakim utrzymana jest „Twórczość", pismo nie ma więc już uroków nowości, ale redagowane jest tak, że obok nowego zeszytu przejść obojętnie nie można, że musi się po niego sięgnąć z zaciekawieniem, bo każdy zeszyt tego miesięcznika to porcja dobrej i przyjemnej lektury o dosyć szerokim wachlarzu rodzajów literackich i tematów.

W tej chwili komplet obejmujący półtora rocznika stoi już w szafie bibliotecznej niejednego miłośnika rzeczy literackich a dwa pierwsze zeszyty trzeciego rocznika znikają już z księgarń. W zakresie prozy oryginalnej przyniosły one jedną doskonałą i godną uwagi pozycję: krótkie, ale doskonałe i frapujące opowiadanie *Mirosława Żuławskiego „Opowieść szydercza"* (zeszyt 2). Poza tym interesująca jest pełna umiaru i kulturalna *proza Edmunda Wiercińskiego* w dobrze napisanym wspomnieniu *„Gałązki akacji"*. Na czele zeszytu 1 przypomina się czytelnikom w kraju *Aleksander Janta* dłuższym opowiadaniem *„Pod słuch"*. Jest to charakterystyczna dla tego autora proza reportażowa, przypominająca żywo opowieści wojenne Ksawerego Pruszyńskiego, choć nie tak doskonała i piękna, jak to, co dał Pruszyński w „Odejściach i powrotach" czy „Podrzuconej książce" (mam na myśli pierwszą z tych opowieści jako studium psychologiczne, drugą natomiast więcej z uwagi na jej część pierwszą, pełną plastyki i temperamentu narracyjnego). Najmniej udana jest z tych dwóch zeszytów proza Alicji Iwańskiej, satyryczne opowiadanie okupacyjne „Ewakuacja aparatu", nie dorównujące zupełnie świetnej „Kukułce" Andrzejewskiego i dziwnie w porównaniu z nią blade, nie mówiąc już, że znacznie mniej dowcipne. Poezję w drugim tegorocznym zeszycie reprezentuje *K. I. Gałczyński* oraz *Julian Przyboś*, który drukuje groteski i ballady sprzed lat niemal dwu dziestu, zupełnie słusznie podkreślając to zresztą w przypisku. Czyżby takie przetrzymywanie wierszy ków było wynikiem przyjęcia zasady stosowanej przez tzw. klasyków i pomnożeniem przestrzeganego przez nich czasokresu przez 2. Groziłoby nam to, że pisanych obecnie przez Przybosia wierszy w ogóle wielu z nas już nie przeczyta, gdyż publikacja ich przypadnie zbyt późno i spadnie na głowy naszych dzieci. Ha! Trudno! Zeszyt pierwszy przynosi starannie dobrane wiersze młodych poetów łódzkich: *Andrzeja Brauna, Jerzego Millera, Alicji Nofer i Anny Pogonowskiej*. Mężczyźni żyją jeszcze okupacją i partyzantką, kobiety próbują już liryki od tej tematyki niezależnej. Ten sam zeszyt przynosi *cenne materiały do Józefa Conrada-Korzeniowskiego:* przekład wspomnień Johna Galsworthyego o Conradzie i artykuł Stanisława Okęckiego o małżeństwie pisarza, oparty na nieznanych jeszcze w Polsce pamiętnikach p. Jessie Conrad. Małżonka Conrada nie bardzo przyjemnie wypada w swoim własnym, mimo woli odsłaniającym wiele rzeczy nie wesołych oświetleniu. Zafascynowana swoją rolą opiekunki geniusza i spowiadająca się z kłopotów tej roli i swojego poświęcenia dyskredytuje się w wielu punktach z rozbrajającą naiwnością. W tym samym zeszycie Józef Słotwiński pisze o Michale Bałuckim, co nie jest bez znaczenia wobec faktu powodzenia, jakie ma ten komediopisarz u naszych dyrektorów teatrów. W tej samej końcowej rubryce „Twórczości" zasługuje na przeczytanie świetna recenzja *książek Iwaszkiewicza pióra Kazimierza Wyki* oraz ciekawe uwagi *Tadeusza Hołuja* o Oświęcimiu jako temacie literackim. Jednym z najciekawszych przypomnień autorskich, jakie przyniosła „Twórczość", jest osoba *Jeremiego Wasiutyńskiego*, który drukuje w zeszycie drugim „Wstęp do historii człowieka". Z notatki okazuje się, że Wasiutyński, autor głośnego dzieła „Mikołaj Kopernik", spędził wojnę w Norwegii, że zdołał tak opanować język norweski, iż napisał w nim trzytomowe dzieło „Świat i geniusz od powstania systemu słonecznego do dzisiaj", które cieszy się w Norwegii dużą popularnością. Zwracają jeszcze uwagę w „Twórczości dwie rozprawy ściśle filologiczne: *W. Kubackiego* „Ranieri Calzabigi pośród lektur filomackich" oraz *Stanisława Gerstmanna* „Wesele jako dramat symboliczny". Cenne jest studium *prof. Juliusza Kleinera* „Rola podmiotu mówiącego w epice, w liryce i w poezji dramatycznej". Zeszyt drugi kontynuuje zapoczątkowane w grudniu ub. roku wypowiedzi na temat literatury polskiej dwudziestolecia niepodległości. Głos zabierają: Kleiner, Lichański i Starowieyska-Morstinowa.

Dobrze się stało, że teoriami literatury uspołecznionej, głoszonymi przez niektórych publicystów zajął się nie kto inny jak *Mieczysław Jastrun* i nie żadne inne pismo, lecz właśnie *„Kuźnica"*. U nas na Śląsku często usiłuje się i drogą publicystycznych, i drogą nawet bardzo oficjalnych wypowiedzi terroryzować literatów w sensie narzucania im tematyki i wyrzucania im, że są niezrozumiali dla prostego czytelnika, robotnika i chłopa. A Jastrun pisze: „niecierpliwość jest cechą mistyków. Nie mają czasu. Chcą zaraz, dzisiaj rano ściągnąć Królestwo Niebieskie na ziemię. Nie uznają stopni przejściowych. Urzędnicy oświaty robotniczej czy chłopskiej sądzą nie raz, że każde zagadnienie naukowe powinno być dostępne dla wszystkich — bez nauki i trudu. Jeśli tak nie jest, podejrzewają, że to się dzieje przez złośliwość uczonych, „kapłanów wiedzy". Ze sztuką i literaturą sprawa jest jeszcze prostsza. Aby zrozumieć i odczuć utwór literacki, wystarczy mieć serce, aby podziwiać obraz lub rzeźbę, wystarczy mieć oczy. Jeśli nie każde dzieło sztuki jest zrozumiałe dla wszystkich i od razu, to oczywiście winę ponosi autor"... Tłumacząc dalej na przykładach zjawisko „zrozumialstwa" i popularności, oraz wyjaśniając przystępnie prawa rządzące wyobraźnią artysty kończy Jastrun: „Starajmy się o to, by pisarze poznali swoją współczesność, by tkwili mocno w rzeczywistości historycznej swego wieku i narodu, nie bądźmy jednak nadto niecierpliwi, nie usiłujmy zmieniać pisarzy w „urzędników lutni", bo nic z tego nie wyjdzie. *Nie pouczajmy ciągle artystów i uczonych, uczmy się od nich, strzeżmy się upraszczania, które jest ozdobą mistyków"*. Wytłumaczone to jest wszystko jasno, popularnie, łagodnie... może wreszcie pomoże.

(ki)

Korespondencja

Do Redakcji tygodnika „Odra"!

W związku z umieszczoną w nr 67 Ich poczytnego pisma z dnia 9 marca 1947 r. recenzją książki J. Zwierzyckiego „Złoża surowcowe na Dolnym Śląsku" pospieszamy stwierdzić co następuje:

Nieprawdą jest, jakoby kopalnia rud arsenowych w Złotym Stoku była nieczynna. Wręcz przeciwnie: od czasu przejęcia fabryki i kopalni od Niemców jest czynna bez przerwy po dzień dzisiejszy, zatrudniając około 180 roobtników i dając ok. 2.000 ton rudy miesięcznie. Ruda ta zawiera ok. 5 procent arsenu i ok. 3 gramów złota na tonę. Rudę przerabia się na arszenik, produkt wysyłany głównie na eksport, a stosowany do wyrobu środków do zwalczania szkodników. W kraju znajduje on w niewielkich ilościach zastosowanie w hutnictwie szklanym. Pozostałość po wydobyciu arszeniku zawiera złoto, które uzyskuje się specjalnymi metodami chemicznymi, w ilościach ok. 4 kg. miesięcznie.

Prosimy o umieszczenie tego sprostowania w Ich piśmie, jak również o podanie go do wiadomości autorowi wzmiankowanej książeczki celem korektury jego niezwykłych informacji, i z prośbą o niewprowadzanie czytelników w błąd.

Przemysł Arsenowy
pod Zarządem Państwowym
Złotystok, D. Śląsk
p. o. Dyrektor
(—) *Inż. Zbigniew Rokossowski.*

SZCZECIN WOŁA!

Zbliżają się znowu *„Dni Szczecina"*. Rok temu miały one uroczysty charakter i ściągnęły, poza przedstawicielami władz, liczne wycieczki, szczególnie młodzieży, przyczyniając się wydatnie do spopularyzowania w całej Polsce zarówno Szczecina jak i Pomorza Zachodniego. Patrząc z perspektywy roku na ówczesne „Dni Szczecina" trzeba stwierdzić, że pomyślane one były wówczas może zbyt wąsko i jednostronnie, gdyż nam, Szczeciniakom, trudno było wówczas poszczycić się większymi osiągnięciami, zwłaszcza na odcinku kulturalnym. Dziś jednak sytuacja zmieniła się już na tyle, że możemy podjąć szerszą inicjatywę i pokazać gościom z całej Polski wiele konkretnych pozycji. Życie nasze buduje się już na szerszej bazie kulturalnej, niż to było rok temu, a osiągnięcia gospodarcze same rzucają się w oczy. Szczecin posiada dwie wyższe uczelnie, teatr zawodowy, sprawnie funkcjonującą radiostację, postawione na odpowiednim poziomie dwa stałe pisma, rozbudowaną Bibliotekę Miejską, liczącą kilkaset tysięcy tomów we wszystkich językach, powiększoną sieć szkolnictwa, Klub Literacki, a przede wszystkim przejęty całkowicie w nasze ręce port. Rok temu zbliżaliśmy się zaledwie do cyfry 40 tysięcy mieszkańców, dziś mamy ich ponad 110 tysięcy. Miasto się od tego czasu zagospodarowało, poszerzyło wielu placówkami i spolonizowało w sposób, nie mający wiele odpowiedników na Ziemiach Odzyskanych.

Od tego czasu zmieniła się też mocno sytuacja i na innych terenach Ziem Odzyskanych. Należało by więc pomyśleć o nadaniu obecnym „Dniom Szczecina" innego nieco, a przede wszystkim szerszego charakteru, chociażby na wzór „Dni Wrocławia". W związku z tym rzucam projekt urządzenia w ramach „Dni Szczecina" — *Festiwalu Sztuki Ziem Odzyskanych"*, w którym wzięły by udział wszystkie *główne miasta Ziem Odzyskanych*. Istnieje już przecież *odpowiedni dorobek artystyczny o tych ziemiach i na tych ziemiach powstały*, zarówno na odcinku powieściowym, poetyckim, jak malarskim czy naukowym. Można by uruchomić zarówno wystawę gospodarczą Ziem Odzyskanych w ramach Planu Trzyletniego, jak również od dawna projektowaną i częściowo już zrealizowaną wystawę historyczno-naukową pt. *„Jesteśmy tu od tysięcy lat"*. Wystawa taka udostępniałaby społeczeństwu polskiemu zorientowanie się w pomnikach kultury słowiańskiej i polskiej na tych terenach, oraz wykazałaby naocznie nasze prawa historyczne do ziem Pomorza Zachodniego. W celu zorganizowania tej wystawy powołano od dawna do życia 7 sekcyj, które miały opracować następujące działy: 1) prehistoryczny, 2) okres od X do XIX wieku, 3) okres największego nasilenia germanizacyjnego, 4) dział obrazujący pozostałości kultury słowiańskiej, 5) Szczecin wraca do Macierzy, 6) bilans dotychczasowych osiągnięć, 7) przyszłość Pomorza Zachodniego.

Jednocześnie należałoby urządzić *kilka widowisk plenerowych*, osnutych na tle historii Ziem Odzyskanych, przy czym każde miasto mogłoby dostarczyć po jednym z takich widowisk. Szczecin posiada kilka wspaniałych miejsc, nadających się do tego rodzaju widowisk: na Wałach Chrobrego (widowisko morskie!), na zamku Piastowskim oraz na wielkim, amfiteatralnie urządzonym torze wyścigowym. W festiwalu powinny wziąć udział, oprócz Szczecina, przede wszystkim Wrocław, Opole i Gdynia. Radio szczecińskie, które w tym mniej więcej czasie będzie już skablowane z Warszawą, mogłoby transmitować na antenę ogólnopolską nie tylko przebieg uroczystości, ale także *szereg słuchowisk*, opartych na motywach regionalnych *morskich, zachodniopomorskich i śląskich*. Poza tym Związek Zawodowy Literatów Polskich oddałby bezcenną usługę polskiemu życiu artystycznemu, gdyby podczas tych „Dni" urządził zjazd właśnie w Szczecinie, podobnie jak to było podczas „Dni Wrocławia".

Oto kilka luźnych projektów, które należałoby wcześniej przedyskutować. Zdaję sobie sprawę, że łatwiej jest rzucić słowa, aniżeli je skwitować czynem, niemniej jednak warto się nad tą sprawą zastanowić. Wierzę, że pomogłyby nam chętnie inne miasta, przysyłając do nas swe ekipy artystyczne i uzupełniając nas tam, gdzie nie wystarczą nasze szczecińskie siły. Z uwagi na doniosłość tej imprezy sygnalizujemy ją już dzisiaj. *Szczecin woła.* Szczecin przypomina. Szczecin, który przygotowuje się do wielkiego startu nie tylko gospodarczego, ale i kulturalnego.

Stanisław Telega.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. — Prenumerata miesięczna 60 zł, kwartalna 240 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12. B-80107